~~Stefan Grabiński.~~

Lam, s. 112

– Saturnin Sektor. –

Powyższa nowela cenionego Autora ukazuje się równocześnie w druku w zbiorze p. n. „Szalony Pątnik" nakładem Krak. Spółki wydawniczej.

Ktoś mnie wypatrzył! Ktoś wytropił! Tak żyjąc odosobniony, tak obcy gwarze świata – a przecież znalazł się ktoś, co mnie śledzi z daleka. Z powodu trwania wyłonił się fakt, w bliskiej ze mną styczności, ze mną „obłąkanym", jak orzekli ludzie roztropni, osobnikiem szczególnie, szczególnie!....

W jednym z pierwszorzędnych dzienników ukazał się pod datą 20. lipca t.zw. bieżącego roku (mówiąc ich trybem) znamienny artykuł p.t. „Ewolucya Czasu". Autor podpisał się inicyałami S.S. Rozpara, pisany cięto, mocno i pewnie, jak na tych przystało, co krzepko trzymają się „życia" i w „rzeczywistości" nurzają po szyję. Wartość jej dla mnie żadna – punkt widzenia oczywiście „realny", z tej strony zgoła wzniosły. Panegiryk dla ludzkiego intelektu i jego wytworów.

Lecz obchodzi mię z innych względów. Artykuł jest wyraźnie skierowany przeciwko mnie, przeciwko moim przekonaniom o t.zw. czasie. Nieznany autor pisze jakby obronę czasu, usiłując zbić moje zarzuty, które zdaje się znać doskonale

2

Ale skąd? W tem moment tajemnicy.
Nigdy ani słowa nie zamieniłem z nikim na temat czasu i jego nieistności, nie wygłosiłem ani jednego odczytu, nie wydałem najmniejszej broszury ni książki: Rozprawy mojej „O fałszywem pojmowaniu t. zw. czasu i jego fikcyjności" nie czytał nikt na świecie. O istnieniu podobnej pracy nikt nie wie, nie może wiedzieć. Żaden z nielicznych znajomych, który i tak po mym powrocie z domu zdrowia usunęli się odemnie skwapliwie, nawet nie przypuszcza, że wogóle tym problemem kiedykolwiek się zajmowałem. Owoc kilkuletnich mych rozmyślań spoczywa cicho w czarnej ceratowej teczce tu w biurku, w tajemnej skrytce na prawo, dokąd nikt się bez mej wiedzy nie dostanie. To wykluczone. A jednak ten człowiek ma napewno treść manuskryptu, umie go na pamięć, na wylot. I usiłuje zbić mój, jak się wyraża, „pogląd" – głupiec! – mojej pewności. Nawet porządek myśli ten sam, nawet kontrprzykłady czerpane z tych samych dziedzin. Przeciwnik pod-

chwytuje me zwroty, definicje, przemianowuje śmiało przeze-mnie odkryte wartości i pojęcia na swój tryb, przenicowuje bezwstydnie na swą modłę wyniki żmudnych badań mojego całego życia. Dziwne to, dziwne, arcydziwne!

Więc chyba wyczuł mnie jakimś sposobem, wyczytał myśli me z oddali i odpowiedział na nie rezonansem swoja. Musi zatem istnieć między nami jakiś tajemny stosunek jakaś więź duchowa, która umożliwia coś podobnego!

~~Lecz~~ Lecz ja sobie tego wcale nie życzę — nie lubię, by mnie ktoś podpatrywał choćby bezwiednie, choćby na odległość. Istnienie tego człowieka jest mi bardzo nie na rękę i <u>postaram się go usunąć</u> za wszelką cenę.

Narazie nie wiem o nim nic. Byłem już w redakcji dziennika i wypytałem wprost o nazwisko autora. Odpowiedziano mi, że go nie znają. Rękopis przysłał ktoś pocztą, ktoś mieszkający w miejscu lecz bez podpisu — były tylko inicjały S.S. Artykuł był ciekawy, poruszał temat aktualny traktowany naukowo, we formie wzorowej, bez zarzutu. Więc wydrukowano.

Może prawda — a może kłamią — tajemnica redakcyjna.

Lecz mi nie ujdzie! Odnajdę go prędzej, później – nie w urzędy, to w mój sposób. Mam za sobą ich pomoc: tajemną, niewidzialną dla oka „zdrowych". Odwiedzają mnie niemal codziennie i wiodą długie, poufne rozmowy. Dostęp do mnie ułatwiło im me „obłąkanie"...

Głupi ludzie „zdrowi", „normalni"! Jakże mi ich żal serdecznie! Nie znają wielkiej drugiej połowy bytu człowieczego poznania. Trzymają się tylko okruchów „rzeczywistości" i poza nią świata nie widzą. Ślepcy dozgonni, dopóki im „śmierć" nareszcie nie otworzy bram, co wiodą na tamtą stronę. Należę do nielicznych wybrańców, którym wolno bezkarnie przechodzić z jednej w drugą dziedzinę. Dzięki memu „obłąkaniu" stanąłem na rubieży dwóch światów. Może właśnie dlatego wydaję się innym anormalnym, szalonym. Może właśnie dlatego wyzwolony jestem z przesądów mózgu i ciemnego ich intelektu". Twory ich są mi obce i obowiązują do niczego; pojęcie czasu dla mnie nie istnieje.

A jednak coś pozostało jeszcze z przywar tej strony: nie mogę zdobyć się na zatratę poczucia przestrzeni, która wciąż

jeszcze przemawia do mnie głosem mocnym, rozkazującym, potrzeba lekceważącą ~~bł~~ bryłowatości przedmiotów, mącącą tęskniącą nudą długich, bez końca gościńców. Dlatego nie jestem czystym duchem tylko „obłąkanym człowiekiem", czemś, co wzbudza u normalnych litość, pogardę lub strach. Lecz się nie skarżę. Lepiej mi z tem niż im ze zdrowymi mózgami.

Przedemną rozwierają się krainy odległe, zamglone, ponure głębie nieznanych światów, przepaście czarne. Nawiedzają mnie korowody zmarłych, orszaki stworów dziwnych, kapryśne jaźnie żywiołów. Wyłaniają się jedne, odchodzą drugie — lotne, piękne, gwiezdne.....

— — — — — — — — — — — —

Któraś z fal trwania wyrzuciła na próg mego domu postać nową — dotąd nie wiem „rzeczywistą", czy z tamtego brzegu.

Przychodzi niewołana, niewiadomo, jak i skąd, stoje obok mnie i wpatruje się we mnie godzinami bez słowa.

Wygląda trochę antycznie. Twarz wąska, ogolona, bez śladu zarostu — twarz śniada, niemal szara. Wiek nieokreślony: czasem wygląda na lat 50, czasem na 100 lub więcej; maska mieni się przedziwnie. Jednak czuję, że musi to być człowiek bardzo stary.

W ręce prawej trzyma kosę, w lewej ~~małą~~ klepsydrę, którą od czasu do czasu podnosi pod światło, badając ~~pod~~ położenie piasku.

Zrazu milczał uporczywie i na pytania nie ~~daje~~ dawał odpowiedzi. Dopiero po dziesiątej z rzędu wizycie dał się wciągnąć w pogawędkę. Szło z początku opornie i ciężko, bo gość mówi monotonnie i nie ma wprawy.

— Odłóż kosę — zachęciłem go na powitanie. — Tyle lat dźwigasz ją niepotrzebnie; dziś już nie sprawia należytego wrażenia — stała się martwem wspomnieniem antycznem.

Twarz gościa skrzywiła się w złośliwy grymas; z ust wypełzł po raz pierwszy głos drewniany, bez dźwięku:

— Tak sądzisz? Ja myślę inaczej: Jestem Tempus.

— Domyśliłem się. Witaj Saturnie! Czemu zawdzięczać mam twoje przybycie?

Gość odsłonił w uśmiechu parę bezzębnych dziąseł:

— Szukasz mnie od pewnego czasu. Więc jestem.

— Ciebie .... niema. Jesteś urojeniem.

— Ucieleśniłem się, jak widzisz. Ludzie zbyt długo mówili o mnie — przeto przybrałem ciało. Wywołano mię z niebytu.

— Możliwe. Lecz ten strój? Trochę za staromodny. Trącisz myszką mój kochany.

— Nic nie szkodzi. [illegible] sztywność zakrzepłej alegorji. Zresztą może ludzkość przyoblec mię w nowe szaty. Czas nawet po temu najwyższy. Te łachmany już mi się sprzykrzyły. Wyglądają na anachronizm.

Tu ~~[illegible]~~ szarpnął pogardliwie połę mocno już przetartej togi.

— A widzisz przyjacielu, że miałem rację.

— Po części tak, o ile chodzi o strój. Lecz ty podobno nie u-

zwojem mego istnienia wogóle.

— Oczywiście. Jesteś fikcją mózgu. Jeśli rojenie się Chrystusa w twego kostiumu, to czynię to tylko z punktu widzenia „zdrowym"! Przebyłeś powolną ewolucję, hę? Tak przypominasz cytatem.

Maska Saturna rozjaśniła się tryumfującym uśmiechem:

— A! Cytałeś mię? — Prawda, że pięknie napisane? Tak, tak.... rozwinąłem się. Nie pojmują mnie już dzisiaj en bloc jak starożytni. Stałem się wartością zmienną nieracjonalną, którą miedza usiłuje sprowadzić ze wszystkie we dzielniny. Ściągnęło mnie do granic minuty, sekundy, rozciągnąłem nad każdym momentem. Sprecyzowałem się, wysubtelniałem....

— O tak! Wychudłeś dyabelnie! Do wymiarów wskazówki zegara. Zbezcześciłeś świętą tajemnicę trwania, zmyłeś cudowną płynność fali — ty pasibo życia! — krzyknąłem zrywając się z miejsca.

Gość był już w progu.

— Jestem silniejszy od ciebie — usłyszałem głos jego miarowy, spokojny jak ruch wahadła. — Bo za mną jest rzeczywistość i zdrowa, praktyczna mądrość. A tej jestem ~~potrzebny~~ niezbędny. Żegnaj! Odnajdziesz mnie w mieście w nieco zmodernizowanej postaci.

Chciałem go zatrzymać przemocą, lecz wymknął się i znikł za drzwiami...

Na niebie paliła się zachodowa zorza — siedziałem sam w pustym pokoju........

— — — — — — — — — — —

Od owego wieczora Tempus już się więcej u mnie nie pojawił. Spełniwszy jakąś misję, oddalił się bezpowrotnie. Lecz słowa gościa nie dawały mi spokoju, brzmiąc w uszach natrętnym refrenem:

— Odnajdziesz mię w mieście.

Co to miało znaczyć? Czyżby wyzwanie do walki?.....

Tymczasem w gazetach pojawiały się artykuły o czasie

widocznie zwrócone ostrzem wywodów przeciw mnie. Wszystkie podpisane tajemniczemi literami S.S. Rozwodziły się nad głębokością tego pojęcia, podkreślały bez końca jego użyteczność jako czynnika regulującego życie i jego sprawność. Słowem były to peany na cześć mojego gościa.

Podrażniony temi wycieczkami, zbijałem je w domu u siebie na papierze, wzmacniając nowymi dowodami swą rozprawę i uzupełniając myśli tam zawarte. Gotowałem się do ataku ze swej strony, czekając na wyczerpanie przeciwnika, by wtedy ogłosić światu odpowiedź.

Równocześnie szukałem swego antagonisty. Całymi dniami do późnego wieczora włóczyłem się po mieście, zaglądałem do kawiarń, zawiązywałem znajomości, wyciągając ludzi na rozmowę na temat czasu. Poznałem ~~kilku~~ w ten sposób kilku profesorów, kilku studyujących filozofów, z jakiś tuzin pierwszego rodzaju dziwaków i oryginałów. Lecz z dysput prowadzonych z tymi panami wychodziłem zawsze niezadowo-

lony. Problem zdawał się wprawdzie zajmować ich w dość wysokim stopniu lecz mimo to nie wyczuwało się tego żaru, jaki miał ze szpalt dzienników. To nie były pnie-ciwnicy; żaden nie ujmował zagadnienia tak osobiście z tak sekciarskim zapamiętaniem jak tamten nieznany. Powoli dochodzę do przekonania, że wpadłem na fałszywy tor, że sfera, wśród której należy go szukać, leży trochę „niżej"......

Zdaje mi się, że nareszcie jestem na właściwym tropie. Od wczoraj wieczorem....

Po całodziennej wędrówce wracam do domu. Idę starą dzielnicą miasta rozciągniętą ponad rzeką systemem wyboistych uliczek zniżających ku wodzie. Przecinam je w poprzek, pnąc się w górę linią kolistą. Nade mną prze-glądają z ponad prostopadłych ścian obdartych kamienic skrawy nieba wieczornego poorane dymami kominów. Z okien wychylają się szczotniczce, blade twarze, wzro-

ebrane głowy starych wiedźm, patrzą rakiste oczy kaprawych starców...

Potykając się o wyboje bruku, skręcam w wąskotorową uliczkę i spoglądam w dół. Tam – daleko, u wylotu parowu krwawi się w agonii zachodu woda, błyszczy migotem fal smutny pas rzeki. Gdzieś w górze, z jakiejś wypadającej się mdłej podarniało się stado wron, i zatoczywszy ciężkim lotem łuk nad uliczką, zniknęło za dachami domów. Opuszczam wzrok niżej, na poziom pierwszych pięter i przeglądam znużonemi oczyma beznadziejność okien. Spojrzenie utyka na jakiejś wywiesce: na zielonem, wyblakłem tle duże, czarne litery czyjegoś nazwiska. Patrzę tępo, nie umiejąc złożyć wyrazów. Nagle ujmuję je: Saturnin Sektor, regamistrz.

Przypiście. To on! Znalazłem nareszcie!

Spokój ogromny wypełnia ~~[illegible]~~ mi duszę i powoli wracam do siebie... f...

Rzecz dziwna! Mieszkam jakoś niedaleko.

Zdaje się nawet, że tuż obok — tylko że zaszedłem do domu z innej niż zwykle strony, z tej, którą dotąd nigdy nie chodziłem. Po 30. latach stałego pobytu w mieście! Szczególne! A jednak widocznie zdarza się czasem, że człowiek wraca do siebie przez lata całe jedną stroną, przemierza ciągle, dzień w dzień tę samą drogę, aż w pewnym momencie zabłąkawszy się na innym szlaku, ze zdumieniem stwierdza, że wiedzie też do jego domu — ze zdumieniem człowieka, który śnił długie, długie lata, by pewnego dnia ocknąć się na nieznanej drodze do własnego wnętrza......

Tak tedy nazywa się mój przeciwnik i jest zegarmistrzem. Naturalnie, że to on, tylko on, nikt inny. Dziwię się tylko, że dotąd na to nie wpadłem. Nazwisko tak mi skądś znane, tak bliskie. Nie mogę sobie wprawdzie przypomnieć, skąd — lecz to nie wpływa w niczem na moje głębokie, niewzruszone przekonanie. Odrazu zrozumiałem, że on jest mym prześladowcą, tym tajemniczym nieznajomym, którego szukam tak długo.

Samo nazwisko tak znamienne! Tyle mówi o sobie!
Zanalizujmy najpierw imię. Saturnin! Czyż nie uderza wyraźny związek z Saturnem — Czasem? Czyż imię to nie narzuca obrazu wizji starca z kosą i klepsydrą? Symbolizm oczywisty.
A nazwisko Sektor — czyż nie zastanawiające? Dobrane znakomicie! Sektor, właściwie Sector — to niby siekący, wydrążający na części, cząstki, odcinki. Ile ukrytej autoironii w tem nazwisku! Czyż Kołodyjak bezwzględnie dzielący synom pojętnym czasie, nie jest istotnie Sektorem? Wszak zniekształcił cudowność trwania na rzecz matematycznej abstrakcji, posiekał płynną, niepodzielną falę życia na szereg martwych odcinków. Sektor — symbol lat, miesięcy, dni, godzin, minut i sekund. Zamknął w dwóch synach cały swój ktoś, przeszłą istocie bytu działalności. Niebezpieczny człowiek — symbol! Dopóki żyje, ludzkość nie stąpnie szczęśliwego przewrotu i nie pójdzie za nim. Dlatego na-

lepiej wykreślić z pamięci żyjących to imię i rozstąpić mojem.
Mojem?!... Co za szczególna myśl! Moje nazwisko!... Moje nazwisko... Jak się właściwie nazywam? Jak się nazywam?... Nie mogę sobie przypomnieć... To śmieszne, to drażniące! To uspokajające!... Zapomniałem, zupełnie zapomniałem jak się nazywam. Jestem bezimienny — tak, bezimienny — — jak fala w łonie oceanu — wiecznie ruchoma, wiecznie się w drugą przelewająca — drugą falę-siostrzycę......

— — — — — — — — — — — —

Po nocy długiej, bezsennej idę do <u>niego</u>. Wiodą mnie schody spróchniałe, miejscami szczerzące się pustką przerw, skrzypliwe. Otwieram drzwi i wchodzę.

Dawny, stary pokój szemrze pogwarem zegarów. Jest ich wiele, bez liku: czarne z hebanu pełzające po ścianach niby wielkie żuki, okrągłe, staroświeckie na kolumienkach z kości słoniowej pod szklanymi dzwonami, dziwaczne barokowe z interieurów dawnej Francji, figlarne, głośno tykające budziki. W niszy

wypiełony zieloną kitajką szklany prostokąt pawiem małe „kieszonkowe" — złote, emaliowane, prześliczne, „cebule" — srebrne, inkrustowane, „repetiery" — kosztowne, w rubin i szmaragd strojne liliputy.

W środku izby stolik z przyrządami zegarmistrza: jakieś dłutka, obcęgi, stosy śrubek, cienkich jak włosień sprężyn, kółek blasek. Na skrawku zielonego sukna parę nadwyrężonych kopert, kilka świeżo wyjętych dyamentów...

Na krzesełku pochylony nad jakimś zegarkiem siedzi on — mistrz czasomiarów. Pogrążony wirującym w swoje promieni słonecznych, które wpadały skośnie przez okno, dostrzegam jego twarz. Znana mi jakoś dobrze. Gdzieś ją widziałem, gdzie — nie pomnę. Może w jakiem lustrze. Siwa starcza głowa, rzadkie faworyty, ostre, sępie rysy.

Podnosi na mnie oczy jasne, przenikliwe i uśmiecha się. Dziwny, drwiący uśmiech.

— Chciałbym oddać zegarek do naprawy.

— Kłamiesz przyjacielu — zegarków nie używasz od lat dziesiątków. Poco te wykręty?

Głos jego przejmuje mię do głębi; gdzieś go słyszałem, i znam doskonale — głos mi nader bliski:

— Wiem, poco przyszedłeś. Oczekuję cię od dawna.

Teraz ja się uśmiecham.

— Jeśli tak, to sprawa bardzo uproszczona.

— Oczywiście. Zanim spełnisz, coś zamierzył, usiądź. Pogadamy. Wszak czasu mamy dość.

— Naturalnie. Nie spieszno mi.

Siadam i wsłuchuję się w szmery zegarów. Chodzą równo na minutę, sekundę.

— Uregulowałeś w siebie czas ~~[illegible]~~ idealnie — nie zwracam uwagę na chybił trafił.

Sektor milczy, wpatrzony we mnie uporczywie.

— Więc jesteś przygotowany na wszystko? — podejmuję

z trudem wątek rozmowy.

— Tak. Nie będę się bronić.

— Dlaczego? Masz do tego prawo jak każdy człowiek.

— To byłoby bezcelowem. Czuję, że wkrótce i tak nadejdzie twoja era. Ustępuję przed koniecznością jako idealny symbol zamkniętego ostatecznie okresu. Przejrzały owoc późnej jesieni sam spada z drzewa.

— Więc uznajesz mnie?

— Nie. To rzecz inna. I ty kiedyś ustąpić musisz przed nowym symbolem. Nie zapominajmy o względności pojęć. Wszystko wszak zależy od układu odniesienia.

— Właśnie. Mimoto skąd ta pewność, którą tchną twoje artykuły?

— Wynikła z głębokiego przekonania o użyteczności tego, co głoszę.

— Ah prawda. Należysz do pokolenia, którego bożyszczem rzeczywistość praktyczna.

— Tak, tak. Ty wciąż sięgasz ponad nią; przynajmniej zdaje ci się tak. I spadasz w mgliste morze tenebrarum. Ludziom z krwi i kości to nie wystarcza — potrzebują ciała i jego wytworów.

— Mylisz się. Ja tylko pragnę pogłębienia życia. Życie płynie szeroką, wartką falą w zjawiskach związanych z sobą tak ściśle, że ich rozdzielanie na momenty jest śmiesznem i karykaturalnem. Twoje pojęcie czasu jest po prostu przeniesieniem go w sferę przestrzeni.*

— Czyż nie piękny pomysł? Czytałeś słynną „Podróż w czasie" znanego pisarza angielskiego?

— Owszem. Ją właśnie miałem na myśli. Jest najlepszym przykładem, do czego może doprowadzić fikcja mózgu ludzkiego. Sam pomysł „maszyny czasowej" czyż nie obraża dziewiczości życia pełnego ciągłych niespodzianek? Oto skutki wiwisekcji, którą na niem uprawiasz. Oto wzór, jak się mechanizuje życie.

— Bajeczna powieść! Wykwit mózgu i jego dumnej potęgi!

— Głupiś mój kochany. Bądź spokojny — nikt nigdy maszyny

---

* Wyrazy podkreślone należy drukować tłustym drukiem. Uwaga dla składającego.

ani w przeszłości ani w przyszłości nie zajedzie.

— Nie zrozumiemy się nigdy. Rzecz szczególna! Mimo że jestestwa nasze tak są ze sobą dziwnie splecione.

W tej chwili niesamowity dreszcz przebiegł mi ciało. Słowa zegarmistrza szły do mnie jakby z mojego wnętrza.

— Hm.... istotnie. I ja to chwilami odczuwam.

— Gdyby nie to — ciągnął zgaszonym głosem starzec — że myśli twoje wyglądają na młody szczep rozsadzony na moim pniu, gdyby nie to, że przeczuwam ich rozbłysk w najbliższej ~~chwili~~ przyszłości....

— To co?

— Zabiłbym cię — odpowiedział zimno. — Tem oto narzędziem.

I wydobył z plusowego pudła cudnej roboty puginał z rękojeścią z kości słoniowej.

Uśmiechnąłem się tryumfująco:

— Tymczasem role wypadną odwrotnie.

Starzec pochylił z rezygnacją głowę:

— Bo przezwyciężyłeś mnie w sobie.... Teraz odejdź. Chcę spisać jeszcze moją ostatnią wolę. Przyjdziesz dziś wieczorem. Weź to na pamiątkę odemnie.

I wręczył mi puginał.

Machinalnie wziąłem połyskującą chłodno stal i bez słowa pożegnania odszedłem. Na schodach doszedł mnie z wnętrza pracowni ostry, chichoczący dźwięk. Starzec śmiał się....

* * *

Dzienniki wieczorne miasta W. ~~z 30. listopada r. 1911.~~ podały w dziale kroniki następującą wiadomość:

— Morderstwo czy samobójstwo? —

Dziś rano zaszedł w naszem mieście tajemniczy wypadek przy ul. Wodnej l. 10. Rozalia Witowska, wdowa po urzędniku prywatnym, wszedłszy koło godziny 10. nad ranem do pracowni zegarmistrza, Saturnina Sektora, zastała jego zwłoki na krześle pod oknem zbroczone obficie zaschłą już krwią. W piersi nieszczęśliwego tkwił głęboko misternej roboty, antyczny sztylet.

Na krzyk Witowskiej zbiegli się mieszkańcy, wkroczyła policya. Lekarz sądowy, dr. Obmiński stwierdził śmierć, która prawdopodobnie nastąpiła w nocy wskutek upływu krwi. Śladów kradzieży jakiejkolwiek nie wykryto. Natomiast obok zwłok na stole znalazł agent policyjny Tulejko testament zmarłego i ćwiartkę papieru, na której skreślił

rzekomo zegarmistrz następujące słowa:

— Winowajcy nie szukać. Ginę z własnej woli.

Wypadek rozwiązał wiele rzeczy tajemniczych i niewyjaśnionych. Miasto owe obiegają już najrozmaitsze pogłoski o zmarłym. Podobno Sektor spędził lat parę w domu obłąkanych, z którego wypuszczono go dopiero niedawno. Dr. Tumin, kierownik zakładu wezwany na świadka w zagadkowej tej sprawie utrzymuje, że zegarmistrz cierpiał już od dłuższego czasu na perjodyczne pomieszanie zmysłów, które za każdym nawrotem przybierało coraz ostrzejsze formy. Orzeczenie to popierają zeznania sąsiadów Sektora i współmieszkańców kamienicy. Uchodził powszechnie za maniaka. Mimoto w okresach t. zw. lucida intervalla oddawał się zajęciom zawodowym, spełniając funkcje zegarmistrza doskonale; koledzy uważali go nawet

na jednego z najzdolniejszych pracowników.

Ciekawe światło na sprawę rzuca testament nieszczęśliwe-go. Sektor przeznacza całą swą pokaźną fortunę na fundusz naukowy ze specjalnem zastrzeżeniem, że korzystać z niej mogą wyłącznie badacze problemu czasu i przestrzeni oraz zagadnień z tem związanych.

Równocześnie z tajemniczym wypadkiem przy ul. Wodnej zgłoszono w policji i miejskim urzędzie parę sensacyjnych wiadomości. Oto pojawiły się na murach miasta dziwaczne plakaty i ogłoszenia w formie żałobnych klepsydr następującej treści:

— Zgon Czasu. —

W nocy z 29 na 30 listopada b. r. zginął bezpowrotnie Tempus Saturn, by ustąpić miejsca wieczystemu Trwaniu.

Drugim, niemniej zagadkowym objawem jest fakt,

że wszystkie wieżowe zegary naszego miasta z niezna-
nych przyczyn stanęły. Wskazówki zatrzymały się one-
gdaj w nocy na godzinie 11.

W mieście panuje ogólne wzburzenie i jakiś dziwny, zabobonny przestrach. ~~Naród~~ Przerażony tłum gromadzi się na placach publicznych, odzywają się głosy wiążące dziwne objawy ze śmiercią zegarmistrza.

że wszystkie [illegible] naszego [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] na godzinę 11.
W miarę [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

– Wezwanie. –

~~– Nowela –~~

~~napisał~~

~~Stefan Grabiński~~

B. Grabiński

– Wezwanie. –

I tak rozbłysło z kolei siódme rano – rozżagwił się krwawą pochodnią moru i zatraty dzień siódmy....

Bo już sześć dni i nocy stał w płomieniach nad miastem gniew Boży.... I skamieniał z rozpaczy świat, struchlał zwierz, poszaleli ludzie.

Tak Allah grzmiał, tak się Allah mścił.... – On wielki, On święty, On ..... kat!

I znów wstało rano. Pogodne, jasne, syte żarem słońca – jak w dzień pierwszy.... jak w drugi... ... jak .... o Allah, bądź przeklęty!

I dziwy moru poczęły szaleć od nowa. Miotały po mieście zatrute, krwawe turbany, włokły po ulicach zakaźne szmaty – i marli ludzie i padał zwierz. I zlękły się dziwy i chciały odejść.

Tak był wczesny sprzęt. Lecz Allah poraził je i spędził przemożną prawicą. Więc wróciły....

I znów szalała zaraza....

A niebo było jasne, turkusowe jak błyszczące żarem źrenice hurysy i jak one palące... A słońce ziało skwar i gorączkę, przepalało skórę, parzyło wnętrzności — że wyschły studnie, wyparowały wody i tylko w żyłach tętniła głucho krew...

Bo był to czas, gdy słońce dosięga zenitu. Od piekielnej spiekoty zbladło niebo, rozjarzyły się do białości mury, powietrze rozpaliła gorączka.

Przyszło pragnienie nieznośne, suche jak samum płomienno-gryzący syn pustyni i nastał kres...
rozwarła się gehenna zbrodni i szału....

Matki ssały krew z naciętych żył dzieci i rozciekającemi posoką wargami oddawały się w rozpacznej

zgdzy przechodniom. Lubieżni starcy rzucali się z dzikim błyskiem w oczach na młode, niewinne dziewczęta i zdobywali je z niebywałą, szatańską siłą. W pyle drożnym, w kurzawie gościńców tarzała się rozpętana bólem, bezkarna chuć, przewalała się w tytanicznych kłębach tędorała Asztoreth..... Od czasu do czasu jak z łoja morskiego strzaskane, zmiażdżone szczęty wzanego statku — wypadały z rozwścieczonego splotu ciał nagie, stalowe trupy i rozciągały się na ziemi sicle już, stężałe, zimne.....

Grabarze w czarnych, smolnych opończach zahaczali je żelaznym odziergiem i wlekli do wspólnego rydołu. Raz hak nie trafił, wcoryjąc się głęboko w łono zadżumionej Gruzinki — spostrzegli i wydobyli żelazo: z ostrza zwisały w krwawych strzępach reszty niedościgłego płodu....

Na placach, po rozdrożach płonęły wielkie stosy
rzeczy; szary perz osiadał posępną żałobą na
achach, na zżółkłych skwerach, na trawach.
Suchy trzask ognia przerywał przyczajoną ciszę grozy,
przerywaną krzykiem tkniętego zarazą, pohukiwa-
niem szaleńców.... Nagle z tysiąca niewidzialnych
ust podnosił się głuchy ~~czy~~ ryk czy skowyt niby
odruch na sekundę przytajonej świadomości chwili —
— z ponad domów wychylało się mrowisko nerwowych
rąk, splecionych w rozpaczliwym zgiętku palców
powykręcanych stawów, przegubów, — wydłużało się, wzlo-
sięgało bolesną konwulsyą wypłowiałego nieba
i —.... staczało z powrotem na ziemię.... Zachi-
chotały dziwy _ _ _ _ _ _ _.
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

W pół-śnie, w pół-jawie wgryzł się w zawrotny krater czarnych, rozbestwionych myśli. Bił stamtąd trujący, zjadliwy odrzask i zalewał mózg. W zielonawo połyskują-cych rzygach krwi przeciągały leniwo przeguby stru-pieszałe grzechotniki — syk, karbunkuły oczu, piana wściekliźny — małe, drgające języki .....

Porwał się z otomany ..... presto ukradkiem, jak złodziej spojrzał przez okno na rozległy plac.

Pod murami, co go na krańcu zamykały, przechodziło parę postaci w długich, szarych burnusach, przepasa-nych czerwoną kitajką; kilka zdawało się mieć ręce skrępowane niewiadomą przeszkodą.

— Warjaci — szepnął — więc już i do tego doszło?

No tak .... przecież teraz, to już chyba wszystko jedno...

Znikli za załomem.

Hassan powiódł nerwowo ręką po czole. Rozpętane myśli

wspomnienia zaczęły układać się, jednoczyć, zbierać w kontury przykrych, nad wyraz drżących obrazów....

.... Trzech ich było, tak trzech a Ibrahim między nimi – Ibrahim, serdeczny druh, przyjaciel drogi – biedny Ibrahim!

Wieczór był ... nie ... późna noc ... wesoło, pogodnie. Palono opium, grano w szachy, on opowiadał ~~wesoło~~ zabawną anegdotę. Śmieli się, oh jak serdecznie się śmieli a Ibrahim najpierwszy: córkę kochaną, najstarszą mężowi oddawał – dzielny, piękny młodzian; i Fatmę kochał, jak kochał!

Wzniósł puhar:

– Niech im Allah błogosławi.

Nim spełnił, rozległ się rozgłośny jęk trąby.

– Co to? Na trwogę muezin gra? Hassanie bacz znać łunę nad miastem?

Po twarzach powiał chłodny ciąg powietrza. Drzwi z łosko-

tem otworzyły się i w czeluści nocy ukazała się kredowa twarz młodszego z synów Ibrahima:
— Ojcze! Czarna choroba w domu!... Fatma!
Dziwny ryk przerwał mu w połowie... wypadli i znikli w ciemności. Zostali we dwójkę bez słowa unikając wzajemnie swych oczu. Tak minęła godzina. Nagle poczęli na się jakoś dziwnie poglądać, jakoś dziko i srogo i odsunęli się od siebie, badając uparcie twarze.
Wtem Achmet opuścił pokój nie pożegnawszy się — poszedł się zamknąć w swym domu... Hassan został sam. Nie zmrużywszy oka, ~~słuchał~~ nasłuchiwał czegoś i ... nie zawiódł się: trąbka muezina zabrzmiała tej nocy jeszcze razy trzydzieści. A gdy wyblakły blask zajrzał w okna, zagrała raz jeszcze, i był to raz ostatni ... bo już tchu nie stało piersiom muezina ... Odtąd cicho już było na galerji mina-

...retu i bezgłośnie już gasły dusze.................

- -

Jakaś nieprzeparta chęć wlokła go do wysoko sklepione-go okna od strony skweru; w tej chwili skwer był pusty: sprażona bezustannym słońcem darń, pożółkłe wyschłe szkielety kwiatów i fontanna..... zatruta...

Hassan czekał.

Z głębi szpalerów cyprysów wysunęła się gromada publicz-nych hurys. Poznał je po jaskrawych, charakterystycznych strojach, po silnej barwiorce twarzy. Szły bezładnie z bezdźwięcznem pokatywaniem tyjąd. Twarze trawione gorączką, oczy oszalałe grozą śmierci wychodziły niemal z orbit. Na czele pół obnażona cudnej budowy kobieta; purpurowa zapona lekko ściągnięta na biodrach koralową spinką wstęgą się krwawo wkładwiż łędźwi perłowej macicy. Twarzy zwróconej w stronę przeciwną ku oknie nie widział.

Kobiety zbliżały się z coraz wyraźniejszym krzykiem.

Wpatrzył się uporczywie w przewodnicę. Rysy znajome, niegdyś drogie, uwielbiane... Poznał Zulemę, czarno-włosą kochankę lat młodych, teraz pyszną kobietę a za chwilę....

Naraz doznał w tyle głowy szczególnego wrażenia. Przez sekundę zdało ~~mu~~ się, jakgdyby cały młot pacierza wcisnął mu się pod czaszkę..... Zulima spostrzegła go i na moment przystanęła nie mogąc jednak opanować spazmatycznych ruchów ciała, które drgiżyła już piekielna choroba!

Hassan usiłował odejść w głąb mieszkania, lecz żelazne zdrętwienie przykuło go do framugi. Znów poczuł skurcz w karku: odłączyła się od reszty i najwyraźniej poszła zmierzać ku jego ~~?~~ oknu.......

— Kochanku mój, panie mój idę ku tobie przez żar, płynę ku tobie przez ból.... Piękna jestem lubieżną śmiercią upojna szałem. Kochanku mój, tancerz mój patrz, jak płoną ciała! Piersi me krągłe jak owoc granatu, w źrenicach się szafir kryształi. Włosy me wonne

jak cedry Libanu, wargi rubinem mi gorą...

Kochanku mój, faryzie mój otom jest ziemna na-łożnica, spragniona róża Edenu... och jak spragniona!...

Daj mi z twej czary pić, z twej czary szczerozłotej...
Tam słońca krwawy zgon szmaragdy morza koją:
już czas!... daj pić!..., harubich szatu nucimy
zwycięską pieśń miłości, płomienną pieśń rozkoszy!...

Kochanku mój, faryzie mój dążę ku tobie przez świat,
idę ku tobie na skon....

Już była pod oknem. Wspięła się ostatkiem sił na podmurowanie... Ocknął się. Okno było otwarte, zamykać już za późno. Pozostały stalowe okiennice. Chwycił za obydwa skrzydła, usiłując pchnąć na zewnątrz. Całym ciężarem ciała wsparła się na nich, prąc ku wnętrzu. Rozpoczęła się zaciekła walka. Wszystkie myśli pierzchły gdzieś w najciemniejsze kryjówki mózgu, pozostawiając tylko żywiołową chęć wytężenia sił

na zewnątrz... Nagle napór zelżał. Hassan pochylił się gwałtownie naprzód wraz z trzymanemi kurczowo okiennicami a równocześnie usłyszał głuchy stęk spadającego ciała...

Zaryglował oba skrzydła, jak należało, przywlókł wzorzystą sofę z kąta, zatarasowując nią drugie okno, następnie uczynił to samo ze stołem i krzesłami, zwalając wszystko na kształt bezładnej barykady. W pokoju zrobiło się całkiem ciemno.

Osłupiały ze strachu wcisnął się w róg kamiennej niszy i skierował oczy w parapet fatalnego okna.

Z rozwartych nor wychynęły jedna po drugiej upiorne myśli:

Uświadomił sobie: oto tam pod oknem leży trup zarażonej... tam pod oknem... Obrzydliwe robactwo mrowi się w jej wnętrznościach, rozsiadło się na powierzchni... na-te, zjadliwe zarazki, co wedrą się wszędzie... co?! co?! —! Nawet przez najdrobniejszą szparkę...

Ściany drewniane, deski popękane od skwaru...

Krew stęgiała w tętnicach, w oczach obracały się jasno-
-zielone kręgi, rozwijały się w coraz dłuższą spiralę....
Zaczął obserwować koła. – Składały się z bardzo
drobnych, mikroskopijnie drobnych stworzonek... Spira-
la przenikała jakby z za parapetu od zewnątrz,
zwolna przybierając kształt ciała kobiecego...

Wtem Hassan zrozumiał, że przyszedł kres, z piersi
wydobyło się niby skomlenie, niby charkot obłąkań-
ca i stanął nad czeluścią szału....

W tej chwili doszło go od drzwi nagłe, urwane
stuknięcie. Gdy odrętwiały, odchodzący niemal od
zmysłów, nie ruszył się z kąta, ktoś zapukał po raz
drugi a w chwilę potem odezwał się groźny, męski
rozkaz:

— Otwórz!

Głos był dziwnie silny, pełen świadomej siebie potęgi.
Jakby zmagnetyzowany Hassan poddał mu się i odsunął
zasuwę.

Przez otwór rozwartych drzwi błysnęła w ciemny pokoju łuna zachodu. Na jej tle ujrzał starca wyniosłego wzrostu w szarym burnusie z czerwoną kitajką na biodrach.

W myśli Hassana przemknęło błyskawicą wyobrażenie rozpalonego do białości muru i kilku przesuwających się pod nim postaci.

— To jeden z tych — pomyślał, nadaremnie usiłując odwrócić wzrok od przepastnie fosforyzujących oczu nieznajomego.

Gość wszedł śmiało do wnętrza a zatrzymawszy się w środku izby, spojrzał na zatarasowane okna. Na wąskich, z wyrazem zawziętej energii skurczonych wargach zawitał na poły ironiczny, na poły bolesny uśmiech. Chudą dłonią chwycił za zawalające okno sprzęty, odrzucił w kąt pokoju i z kolei otworzył okiennice. Przez cały czas zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na zdumiałego Hassana. Dopiero po rozrzuceniu

barykowy zwrócił nań swe pijane dzikim żarem źrenice i rzekł podniosłym, mocnym głosem:

— Bądź pozdrowiony w imię woli!

Hossan milczał, przejęty trudną do wytłómaczenia bojaźnią i czcią zarazem ku starcowi.

Ten ciągnął dalej, nie zmieniając tonu:

— Przychodzę w porę; jeszcze chwila a byłbyś zgubiony.

Wskazał na kołyszące się w nieładzie sprzęty i na długie, rozwarte okno:

— Jeszcze chwila, a byłbyś wpadł w szał strachu. Ty już nawet stałeś na tej zawrotnej rubieży. Przychodzę cię wyzwolić i .... wezwać za sobą ....

Byłem i u innych braci, lecz się zaparli po domach i odepchnęli mnie. Głupcy! Oni zginą! Nie wierzysz?!

... Wszyscy, wszyscy ci, co nie chcieli mnie wpuścić!!

Tyś mnie przyjął. A wiesz, czemu? ... Boś już był bliski

swatu. I to szczęście twe, że na tę chwilę trafiłem. Biada ci, gdybym był przyszedł wcześniej. Bo wtedybyś i ty mnie odepchnął.

Umilkł rozsnuty. —

W mózgu Hassana pieniła się zawzięta walka dwóch przeciwnych żywiołów. Z jednej strony skomlił ohydny, niezmożony strach, trwoga chwili, obłęd zarazy, z drugiej wyżoniła się jasna jutrzenka wprost bezdennej wiary, jaką powoli nagrzewał go nieznajomy. I mimowoli przechylał się ku ostatniej, bezwiednie poddając się potężnemu jej wpływowi. I płynął tym czarującym prądem, który unosił go coraz dalej, coraz przemożniej i słuchał....

— Synu mój! Witam cię w imię woli. Lecz wola jest podwójna. Wszyscy mówić wyłącznie o woli duszy i w tem się fałsz kryje. Bo jesteście jednostronni. Dwie są wole: ciała i duszy. Jedna przenika

drugą i obie razem w najserdeczniejszym zespole dają całego, doskonałego człowieka; obydwie zwarte w święte Jedno błyszczą stubarwną tęczą woli życia rozlewają się królewską zorzą piękna i siły na horyzoncie wszechświata.

O bracia moi, bogowie cali! O siostry moje, boginie doskonałe!

Bogowie my piękni! Bo piękny jest człowiek cały. Wśród syku płomieni z radosnym spokojem włoży rękę w palące zarzewie i wyjmie ją nienaruszoną. I rzuciwszy się w przepaść, wynijdzie cało. Kto obie wole w sobie zestroił, ze stalowym chłodem topi źrenice w wyschłych ogrodach śmierci; nie znajdzie go z nienacka — sam do niej chrobrą dłoń wyciągnie, gdy przyjdzie nań czas, który przyjść musi......

Harmonii! Zestroju!

Wszędzie ból, wszędzie rozkał. Tu wije się bezbrzeżna tęsknota i Taski biedna żebrze, tam cudne asfodele więdną....

Harmonii, Zestroju!

Mieli go wielcy twórcy świata, bo była im potrzebna do czynu, mieli i malarzy (i ci najszczęśliwsi), mieli tajemni mistrze, by jej wybranym udzielać.

Bywają ludzie, co w dziecięcej nieświadomości w głębi ~~dusz~~ serc prostych ten zestrój posiedli. I nagle jakaś klątewna moc nachodzi chram zgody, targa wiązania, rozsadza sklepienie przymierza — i wtedy człowiek przechyla się na jedną stronę, traci równowagę i bez pamięci, bez tchu pędzi w odmęt zaguby....

Synu! Takie przejścia bywają zawsze fatalne! —

Głos mu dziko schropowaciał i tętnił przej-

swoim światem. Przechylił rozmarzoną twarz
~~— Czy wiesz, że ten przeklęty zeszyt~~
ku Hassanowi i szepnął:
— Synu, taką harmonię posiadałem i ja.
Zdobyłem ją, wydarłem Temu tam w naszym
domu w długie godziny samotnych rozmyślań!
I oto już siódmy dzień chodzę po mieście i uczę
kalekich wyzwolin i siły. Dotykałem umarłych,
wsysałem się w ich zwiotczałe, sine wargi;
wzierałem w biedne, skażone ciała i patrz!:
cały jestem i czysty! Pogodny jestem i z świętą
radością na czole! I ~~ja~~ taki promienny przyszedłem
do nich, by się mem szczęściem podzielić jak z brać-
mi. Lecz wyśmiali mię i nazwali szaleńcem.
Chyba szaleńcem jasności i słońca.

A teraz ja król, ja, Pan mocy chcę ci jej synu udzielić, bo taka jest moja wola!

Dotknął ręką czoła Hassana, wwołgując się w jego znieruchomiałe oczy:

— Oto masz ją!

Opadł wyczerpany na otomanę.

Tamten stał u okna i patrzył w miasto. Już od dawna szedł krętymi krużganki myśli szczególnego gościa. Resztki zachwianej w posadach świadomości wołały nań, by zawrócił z drogi zszedł z wyrastającej pod stopy szkołów.... Nie słuchał: z radością rozpaczy wpadł na dotąd nieznane sobie tory i zapuszczał się coraz dalej i dalej w jakieś strzeliste sale

o podniebnych posowach, w niebotyczne
zamki, chłodne, bez końca korytarze.....
Na moment tylko uprzytomnił sobie, że ta
radość jest czemś strasznie brutalnem, że
do niej nie ma prawa, bo przecież tam u jego
bronowin zachodu inni...
I chmura bolu zawlokła pogodę.
Jakby odpowiadając, podjął nieznajomy:
— Tak, to prawda. I to jest jedna z brutalnoś-
ci życia: tylko jedna z tysiąca niezliczonych.
Lecz cóż? Nie przełamiesz piekielnego kordonu.
My tylko im pomagać możem a reszta...
reszta w rękach dziwów....
Bracie! Pod twojem oknem leży zewłok
kobiety — kochanki, co chciała cię pożegnać

pocałunkiem śmierci. Jak i oddaj jej ostatnią przysługę! Jak! Piękna była i młoda i tylko... kobietą....

Z wiarą wielką, z czcią bezkresną, nie spuszczając oczu z twarzy mistrza, przechylił się Hassan przez parapet okna, podjął zesztywniałe ciało i na zimnych ustach wycisnął ~~złożył~~ długi pocałunek. Potem złożył ją na łożu z hebanu i przykrył jedwabnym chałatem w złote szafrany. W łożnicę śmierci wpadło parę promieni zachodu i roztoczyło się po płaszczu złotą otęczą...

Starzec wzniósł rękę w stronę miasta:

— A teraz nam w drogę czas. Tam nas inni czekają. Pójdź bracie wyzwalać!...

Słońce zgasło krwawą skargą u spodu widnokręgu.

Ostatnie rzuty światła szły migocąc po roztoczy wód i skoraliły grzebienie. Tam w dali płonęły się w złocie i purpurze zręby i szczyty gór... Z ~~olbrzymich~~ rozpostartych czar żlebów, przełęczy przelewał się drogocenny, rubinowy płyn...

Od pałaców, meczetów, kamienic padały głębokie cienie i klinem wrzynały się w ulice, kładąc potężnemi ~~rysami~~ liniami ich zolbrzymiałe zrysy. Z dołu bił w niebo ciężki, skwarny opar pogorzeli....

Na zegarach biła ósma. Przeciągłe, mosiężne dźwięki rozpierścieniały się w szerokich, powoźnych kręgach, spadały niżej między domy, tułały się wśród pierzei ścian i głuchły zalękłe po zaułkach....

— — — — — — — — — — —

... Wyszli ....

Stefan Grabiński:

— Nocleg. —

(Z cyklu: „Szalony Pątnik.")

W drodze powrotnej z odwiedzin u krewnych wpadłem na niefortunny pomysł, by milową przestrzeń dzielącą mnie od najbliższej stacji kolejowej przebyć nie wozem lecz pieszo. Nęciła pora letnia, przedwieczorna i perspektywa wędrówki wśród pól ciężkich już wykłoszonem zbożem i łąk oddychających wonią polnych ziół i kwiatów. Lecz już w połowie drogi zacząłem żałować. W powietrzu zrobiło się jakoś duszno i parno; wypierzchłe przez dzień stronami chmury skojarzyły się gwałtownie w groźne rzesze i nawisły ponuro w środku nieba. Zaniosło się na burzę.

Przyspieszyłem kroku, by dotrzeć do przystanku kolejowego przed wybuchem żywiołu i dla skrócenia drogi puściłem się na przełaj przez las. Po kwadransie wytężonego ~~chodu~~ marszu po krętych ścieżkach zrozumiałem, że trud mój daremny i przed burzą nie ucieknę.

Żałobną kirę chmur rozdarł nagle oślepiający zygzak pioruna i głuchy łomot zmącił leśne zacisza. Lunął nawalny deszcz.

Schroniłem się przed pierwszym atakiem ulewy w jakiś zarosły

drzewami zaułek, zasypując się cały w gęsty krzak leszczyny. Tu przeczekałem moment krytyczny.

Gdy deszcz trochę zelżał, opuściwszy kryjówkę, ruszyłem dalej. Teraz szło się trudniej po rozmokłym, śliskim od dżdżu gruncie; parę razy potknąłem się i omal nie wywróciłem na jakiejś złamanej gałęzi. Na domiar złego ściemniło się i słabo orjentowałem się w błędniku ścieżek i ścieżyn. Po półgodzinnym chodzie na pół przesiąkły dżdżem, znużony wypatrywaniem właściwej drogi doszedłem do smutnego wniosku, że zmyliłem zupełnie kierunek i zgubiłem się w lesie.

Położenie było fatalne. Zapaliłem zapałkę, by przy jej blasku stwierdzić na zegarku, że jest już godzina siódma wieczorem, że o pociągu ani marzyć, bo pora mocno spóźniona.

Deszcz wprawdzie ustał, lecz ewentualność spędzenia nocy w lesie na wilgotnej ziemi nie uśmiechała się wcale obiecująco. Instynktem tonącego chwyciłem się uporczywie jakiejś ścieżki

i nie oglądając się ani w prawo ani w lewo, zacząłem pędem
biec między dwoma szeregami koślawych sosen.
Ruch rozgrzał mnie i podwoił siły; po upływie kilkuna-
stu minut zamajaczyła przerwa a w chwilę potem wy-
dostałem się z przeklętego lasu na czyste, puste jak okiem
sięgnąć pole. Byłem na jakiejś drożynie, która wcisnęła się
głęboko niby parów w ramy zagonów i umknęła w ciemnie-
jącą dal. Postanowiłem iść nią, nie zmieniając kierunku
w nadziei, że zaprowadzi do wsi lub przysiółka.
Na chwilę wychylony z obłoków księżyc skrył się z powrotem
w ich gęste opony; szedłem po ciemku.
Zaczął mżyć znowu drobny przejmujący do szpiku deszczyk.
Było mi zimno w lekkiem spacerowem ubraniu bez za-
rzutki. ~~szczękając zębami~~, Dążyłem przed siebie w absolutnej
ciemności, od czasu do czasu wyciągając ręce, by zbadać
zbocza śródpolnego parowu w obawie, czy nie schodzę z drogi.
Raz natrafiłem na jakąś jamę i z trudem tylko wydoby-
łem się z jej chlupocącej deszczówką głębi — to znów wpadłem
w błotną kałużę po kolana....

Szedłem dalej. Grunt powoli jakby podnosił się, parów przechodził do jednakowego poziomu z polami. Wyczułem pod nogami zarosłą trawą przykopę, która rozdzielała podwójny tor kolein.

Po czasie doszedł mię z prawej strony zapach czeremchy. Przyspieszyłem kroku, wciągając z rozkoszą woń; była teraz mocniejsza i zmieszana z zapachem akacji: niezawodnie zbliżałem się do jakiejś wsi lub dworu. Nademną oderwał się rozłożysty szum drzew – wielki, poważny rozhowor. Wytężyłem oczy w kierunku poszumu lecz nie spostrzegłem nic: panowała bezwzględna, czarna jak kir ćma...

Po twarzy musnęła mię mokra gałąź, oblewając kaskadą kropel. Otarłem oczy i sięgnąłem ręką w górę, by pochwycić gałąź; zamiast niej palce objęły sztywne drewno sztachet.

— Sad — pomyślałem z uczuciem radości — lub park dworsko

w każdym razie ~~nie~~ znajdę przytułek na noc.—

By nie stracić kontaktu, nie wypuszczałem już z rąk ogrodzenia lecz ciągle posuwając się naprzód, prześlizgiwałem palce po drewnianych przęsłach niby po nici przewodniej śród mroków nocy. W pewnem miejscu sztachety ustąpiły, odchylając się w głąb. Była furtka. Wszedłem i zamknąłem za sobą; w ciszy rozległ się wyraźnie skrzyp rozdrzemionych zawiasów.

Szedłem jakąś aleją owianą ruchem drzew, które rosły po obu jej stronach; chwilą odzywał się szmer liści i łopot gałęzi miotanych na wietrze. Nie widziałem nic — nawet pnie drzew niewidzialnych zlewały się zupełnie z czernią nocy. nie wyodrębniał się ani jeden szczegół. Tak uszedłszy kilkaset kroków, niespodziewanie uderzyłem głową o coś twardego; podniósłszy ręce w kierunku przeszkody, przekonałem się, że były to sztachety. Więc ogród tutaj się kończył; widocznie ścieżka, którą

szedłem, nie była główną i biegła wzwyż. Przypuszczalny dwór czy zagroda leżały zatem u końca ścieżki głównej która zapewne krzyżowała się gdzieś z dróżką obraną przypadkowo przeze mnie. Należało szukać punktu węzłowego ścieżek. Zawróciłem tedy i zacząłem posuwać się ostrożnie w kierunku, skąd przyszedłem, co parę kroków czyniąc próbne zboczenia na obie strony. Lecz nie mogłem jakoś trafić na upragnioną drogę, która według mych domysłów miała zaprowadzić do domu. Nie śmiąc zapuszczać się pomiędzy krzewy i drzewa, wśród których można było błądzić do rana, wracałem po każdej próbie na środek ścieżki, by z kolei badać teren po przeciwnej jej stronie. Ale poszukiwania spełzły na niczem; po kilkunastu minutach drogi, znalazłem się z powrotem u furtki. Zrozpaczony niepowodzeniem, przemokły do nitki podjąłem trud od nowa, postanawiając teraz iść tylko brzegiem prawym i wyj-

pierw przepatrzyć jak najdokładniej tę stronę.

Zaledwie uszedłem parę kroków, potknąłem się o jakiś wystający pniak; padając odruchowo wyciągnąłem ramię, by uchwycić się drzewa lub krzaku. Wtedy zamiast pnia ręka natrafiła na węgieł jakiegoś budynku. Zatrzymałem się, wodząc dłonią po jego ścianie. Była drewniana, zbita z niewygładzonych tarcic. Tak namacałem drzwi zamknięte na kołek...

Zawahałem się: wejść czy szukać dalej?

Chyba dworem ta buda być nie mogła?

Rozstrzygnęło ogromne zmęczenie. Nagle uczułem, ~~się~~ że dalej już iść nie zdołam. Dreszcz gorączki wstrząsał mną już od chwili. Zapukałem. Z wnętrza nikt nie odpowiedział. Przyłożyłem ucho do ściany, nasłuchując. Cisza zupełna. Zniecierpliwiony wyjąłem kołek i całym sobą pchnąłem drzwi. Otworzyły się bez oporu.

Uczułem woń świeżego siana i zgaszonych świec.

– Szczególna kombinacya – pomyślałem, zamykając za sobą skrzypliwe wejście.

– Dobry wieczór! – odezwałem się głośno.

– Dobry wieczór! – odpowiedziało echo.

Przestrzeń, do której wszedłem, była znowu pusta. Głos dudnił jak w beczce.

Potarłem zapałkę jedną, drugą – niestety odmówiły posłuszeństwa, przemokły wraz ze mną. Trzeba było zrezygnować ze światła. Po omacku przesunąłem się wzdłuż ścian, dotykając ich powierzchni. W drugiej z rzędu wnęce zatrzymał mię jakiś przedmiot, który potrącony nogą zadudnił głucho. Chciałem go wyminąć i pójść dalej, lecz ręka trafiła na próżnię i wpadłem w jakieś wnętrze. Sprzęt był widocznie wydrążony.

– Co u licha? – pomyślałem, czepiając się wystającego brzegu – Niecki czy koryto? –

Wreszcie wydobyłem się nazewnątrz. Zrobiło mi się nagle

jakoś nieswojo.

— Gdzie jestem? — krzyknąłem na cały głos.

Milczenie. Stałem, łowiąc uchem śmiertelną ciszę. Najcichszy oddech ludzkiej piersi nie mącił głuszy nocy. Słyszałem tylko przyspieszone udary własnego serca....

Podjąłem wędrówkę po izbie. Po chwili nogi wplątały się w jakieś chusty czy odzienie porzucone na podłodze. Schyliłem się, podniosłem. Był podarty, wilgotny łachman cuchnący zgnilizną i zapachem starych, łojowych świec. Odrzuciłem z obrzydzeniem.

Znużony mózg snuł domysły na temat miejsca. Może buda ogrodnika dworskiego lub wyjęty z użycia stelnik?

Ponętna woń siana zwabiła mię ku środkowi izby.

— Może będzie się można przespać na niem choćby na podłodze?

Na poziomie piersi wyczułem nagle przeszkodę: jakiś stół czy pryczę zasłaną warstwą świeżego siana. Wyciągnąwszy

ręką, błądziłem z lubością po wonnem podścielisku. Taje-
cran był niezwykły; znalazłem tkwię.

Bez namysłu zerwałem przemokłą bluzę i położywszy w głowach, wydłużyłem się rozkosznie na posłaniu.

Na dworze padał ciągle deszcz, bębniły po dachu duże, ciężkie krople, kwilił wiatr w gałęziach drzew. Ukołysany monotonią żywiołów, wyczerpany długą włóczęgą wśród deszczu i burzy, niebawem zapadłem w stan przedsennych marzeń. Przez chwilę trwało zawieszenie między snem a jawą pełne skłębionych obrazów, kształtów, postaci – z kolei spadła gęsta, zsiadła mgła i stłumiła je ślepym woalem – wreszcie nadpłynęła pierwsza fala snu i przeszła nademną, pogrążając w odmęcie. Wkrótce porwany tajemniczym wirem znalazłem się daleko, w otoczeniu zgoła nowem, nieznanem, wśród ludzi obcych, wytwornie odzianych ....

– – – – – – – – – – – – – – – – – – –

Wnętrze staroświeckiego dworu. Na ścianach tureckie makaty, konterfekty dziadów i broń myśliwska. Jakaś sala duża, jasna w obłokach tytoniowego dymu. W środku, przy stole zielonem suknem obciągniętym grupa mężczyzn w strojach wieczorowych. Grają w karty: wist. Twarze zmęczone, zmięte. Zapewne po nieprzespanej nocy. Uwagę skupiają na sobie trzy postacie – dwóch mężczyzn i kobieta. Piękni ludzie. Zwłaszcza ten blondyn o charakterystycznym, angielskim profilu. Rasowy człowiek. Gra nerwowo, jakby roztargniony i przegrywa ciągle. Ciemnofiołkowe oczy co chwila podnoszą się z ponad kart i wpijają w bladą, czarnowłosą panią w szkarłatnym szalu, siedzącą przy tamtym mężczyźnie, zapewne mężu.
Tych dwoje ludzi coś wiąże ze sobą, jakaś mocna, serdeczna tajemnica. Spojrzenie kobiety nie schodzi z twarzy przegrywającego – ssie słodycz pijanych miłością jego oczu. Twarz męża skupiona, marmurowa; głęboka rysa przekreśla czoło w okolu bujnej, kasztanowatej czupryny. Gra równo,

spokojnie — tylko od czasu do czasu pochylała się ku dogory-
wającej świecy po prawej i rozpalała w jej płomieniu papierosa.
Wtedy na moment oczy jego szare, stalowe spotykają oczu
przeciwniczki i patrzą w nie zimno, z natężoną uwagą...
Gra toczy się dalej nieubłaganym, fatalnym ciągiem.

Mijają długie minuty, kwadranse, godziny... Wtem
pani nieznacznie pod osłoną stołu wyciąga ramię krzyte
cudnie wyrzeźbione i szuka ręki ukochanego. Dłonie
ich spotykają się na mgnienie oka, na krótką, boską
chwilę i spłoszone cofają z powrotem.

Mąż drgnął niespokojnie, gwałtem stłumił podryw
podniesionej już ręki. Tylko twarz zszarzała jak popiół,
sfałdowała się w nerwowe, ostre linie i wysiłkiem woli
ułożyła w maskę obojętności. Zaumarzył...

Blondyn zaczął rozdawać karty. Padły króle, walety,
zakręcił się młyńcem na sukni as karowy...
Kobieta wstaje i coś mówi. Przeprasza gości, idzie podać po-

ranną piękniejszą. Przechodząc obok blondyna, musnęła z lekka, niby przypadkiem jego policzek szerokim rękawem kimona. Postać jej pełna, dorodna a gibka znika za portyerą w przyległym pokoju. Mężczyźni przeprowadzają ją odchodzącą ukłonem i wracają do wista.

Cała sytuacya powstała w grze jest arcyciekawą, bo chwilowo twarze ożywiają się i znać natężenie uwagi. Wygrał pan domu....

Wchodzi służąca i podaje na tacy herbatę i ciasta. Goście spożywają śniadanie. Z zamieszania i ruchu odsuwanych krzeseł korzysta sługa, by zręcznie wcisnąć blondynowi w rękę drobny, papierowy zwitek. Chwycił chciwie, rzucając zkoso szybkie, badawcze spojrzenie. Odetchnął: nikt nie widział....

Nieobecność pani domu zwraca uwagę męża. Pyta o coś sługę i wychodzi. ~~Ta~~ Chwila nader stosowna. Szczęśliwy rywal kryje się we framudze okna, rozwija papier, czyta.

Fala krwi skrasi mu lica, w oczach grają blaski. Zwinięty schował na piersi... Dopala papierosa, usuwa się w głąb i wśród gwaru znika za drzwiami najpierw portyery.

Po czasie wraca mgi. W rysach wzburzenie, błysk gniewu. Po scenie. Bierze go w wyłączne posiadanie jakiś opasły jegomość i ciągnie w kąt na pogadankę. Ustąpił lubo niechętnie. Mija kwadrans, pół godziny.

Rozpierzchli goście powoli wracają na swe miejsca przy zielonym stoliku. Zauważono brak blondyna. Na kilku twarzach świtają uśmiechy, padają jakieś półsłówka, domyślniki. Spojrzenia ześrodkowują się nieznacznie na pana domu.

Powstał blady, drżący:

— Przepraszam panów. Obowiązkiem moim odszukać zabłąkanego gościa. Zaraz będę służył z powrotem.

Odsuwa gwałtownie kotarę i przechodzi w głąb domu. Widzi długą, gubiącą się w ogrodzie amfiladę pokoi, starych, zgłuszonych ada-

maskiem kotar komnat – otwierają się jedne po drugich drzwi, odrzucane nerwowo skrzydła, odsłaniają ciężkie zasłony... Padają w kąty spojrzenia złe, badawcze, świdrują alkowy, przepatrują sypialnie....

Wypadł na ganek, zbiegł po schodkach, skręcił deptakiem w lewo. Kroki ciche, ostrożne, podstępne. Doszły go jakieś głosy, szepty namiętne. Zajrzał przez kratę oplecioną dzikiem winem altany. Zobaczył.... Przechyliła mu głowę na piersi, podała usta. Całował długo przeciągle....

Nagle scena zmieniła się. W środku chłodnika stanął mąż. Na ustach zimny, ironiczny uśmiech, w rękach szpicruta:

— Excusez! —

Kobieta porwała się z ławki, chciała coś przemówić. Przerwał jej świst trzciny. ~~Podniosła~~ Z krótkim okrzykiem podniosła rękę do policzka, na którym wykwitła podłużna, czerwonosina pręga... Tamten rzucił się na oszalałego z gniewu, zamierzył się ręką ku twarzy. Lecz w drodze napotkał opór: zatrzymało go mocne, stalowe ramię.

— Znajdziemy inny sposób załatwienia tej sprawy.

Ruchem wskazującym wyciągnął rękę ku kobiecie i wskazał dom:

— Proszę nas zostawić samych!

Odeszła. Niema gra ~~spojrzeń~~ twarzy, pojedynek spojrzeń. Oczy przeciwników związane w śmiertelnym uścisku niemal równocześnie zatrzymują się na koszyczku od robót pozostawionym przez panią na stole. Przykuwają uwagę dwa kłębki na spodzie: zielony i błękitny. Dziwny uśmiech błąka się na wargach Ugia. Sięgnął po ~~ob~~ kłębki, położył ~~sobie~~ na ręce i igra niemi, tłacząc po dłoni. Patrzy pytająco na tamtego. Ujął w palce kulkę błękitną:

— Śmierć!

Blondyn skinął na zgodę.

Teraz podsuwa dłoń z zieloną:

— Życie.

— Dobrze.

— Kto będzie ciągnął losy?

Dyalog przerywa duży angielski chart. Śliczne zwierzę wbiega do altany w krótkich, gibkich skokach i zaczyna łasić się u stóp blondyna. Ten głaszcze psa po łbie, potem wskazując go przeciwnikowi, objaśnia:

— Nero.

— Dobrze.

Wkłada napowrót do koszyka oba kłębki i stawia na stole. Z kolei sięga po nie rzymał i ujęty w prawą rękę, zwraca się do psa:

— Apporte Nero! Apporte!

Z palców wymknęły się różnobarwne kule i zataczając podwójną parabolę, spadły o kilkadziesiąt kroków na ścieżkę: bliżej zielona, o kilka metrów za nią błękitna.

— Apporte Nero! — rozkazał powtórnie blondyn.

Pies ruszył się z miejsca i lekkim truchtem zbliżył ku kłębkom. Obaj mężczyźni śledzili bacznie z altany jego ruchy. Nero chwycił w zęby najbliższy motek zielony i już miał zawrócić

ku panu ze zdobyczą, gdy wtem spostrzegł drugi poza nim pod klombem. Zwierzę zawahało się na moment, jak postąpić; po namyśle podbiegł do klombu i podjął. Dumny z sumiennego rozwiązania problemu, wracał chart do altany, trzymając wysoko podniesionej paszczy oba kłębki. Wtem zaczepił nogą o jakiś korzeń, podskoczył i trzepnął ciężko o krzak. Wtedy rozwija się jeden motek, wyślizgnął mu się i wypadł gdzieś po drodze pomiędzy krzewy. W chwilę potem zdyszany podawał swemu panu pozostały kłębek. Był to błękitny kłębek śmierci.

Blondyn odebrał go i pogłaskał psa po lśniącej, jedwabistej sierści:

— Dziękuję ci Nero.

Uśmiechnął się i patrząc na swego zwycięzcę, dodał spokojnie:

— Dzielny pies. Tak, tak. Mój własny pies. Żegnam pana.

Odpowiedział milczący ukłon.

Krokiem szybkim, nerwowym opuścił altanę, przemierzył park i furtą wydostał się na pola. Za nim biegł Nero. Młody człowiek zwolnił kroku i skręcił pomiędzy wikliny za dworem. Szedł brzegiem

zarośli tatarakiem i rogożą rzeki. Rozsuwał mechanicznie wilgne rosą ich pałki, unurzał się w lesie mokrych okiści. Wśród zieleni przesianej złotem porannego słońca odcinał się czarnym konturem jego smukły, świetnie skrojony frak.

Pies towarzyszył wytrwale, wstępując w ślady pana, który zdawał się go nie dostrzegać. Nagle wyszedłszy z gąszczy na małą łączkę, obrócił się i spostrzegł wiernego towarzysza. Błysk gniewu zagrał w zeszklonych wpadłych oczach. Podbiegł i kopnął zwierzę z całej siły.

— Precz, ty bydlę podłe!

Pies zaskowyczał, ratował się i popatrzył z wyrzutem w oczy. Pan odwrócił się i poszedł dalej. Teraz błądził nad samą rzeką. Tępe spojrzenie sunęło się po fali, wlokło z biegiem prądu. U nóg odezwało się pokorne skomlenie psa: Nero przepraszał za niezwykłą mu ~~winę~~ przewinę, lizał ręce, łasił się. Wtedy człowiek wydobył z kieszeni fraka, krótki rewolwer i strzelił mu w łeb. Zwierzę wydało cichy jęk i padło u stóp pana, składając roztrzaskaną głowę na wyciągniętych łapach. Desperat oglądnął broń i zauważywszy widocznie brak naboi odrzucił w sitowie jako rzecz niepotrzebną. Potem bez namysłu wskoczył w rzekę. Woda pod nim wzburzyła się, wzdęła,

prysła pluskotem pian i zawarła się nad ofiarą równą, gładką pościelą. Pociekły dalej nurty w drogę ku dalekim celom, – potoczyła się fala na wędrowną dolę, pomknął nurt błędny w tęsknotę wieczystej włóczęgi....

I cicho było nad brzegiem rzeki, cicho i samotnie. Czasem chyba ~~zaśnie~~ zaleszczotała w wiklinie pstra krasnowronka, zabrzęczał komar, zarechotała żaba – czasem lotem zygzaka przefrunęła krzykwa, zawahała się nad liściem podbiału pierzowa ważka.... Kiedyniekiedy ozwał się spłoszony odzew cyranki, zahuczał dziki gęsior, zakwiliła rybitwa. W dolinie, tam na zakręcie, gdzie wstęga wody gubiła się między chaszczami białoól senne, mrokiem nasiąkłe drzemanie.........

Powoli mgły stamtąd idące zaczęły zasnuwać krajobraz, mroczne woale spowijały rzekę, pętały krze, przesłaniały brzegi – aż wszystko zlało się w jeden wielki, bezkształtny, szaro-biały kłąb......

Nagle uderzył w oczy czerwony krzyk światła i obudziłem się......

Był dzień duży, jasny. Leżałem na wznak, twarzą wystawiony na działanie promieni słońca, które całym snopem wpadały przez małe, zakratowane okienko w ścianie wagonu. Oślepiony bla

skiem przysłoniłem oczy i spojrzałem uważnie dookoła.
Przykry wstręt przejął niespodzianie me ciało. W kącie
spostrzegłem trumnę. Otwarte jej wnętrze zionęło ku mnie
pustką śmierci.

Odwróciłem oczy; wzrok padł na wystający róg pryczy,
na której leżałem. Był okryty jakimś czarnym spłachciem
czy sztuką obdartej materji. Machinalnie wziąłem do
ręki; był to łachman kiru brudny od prochu i błota
skąpany łzami świec. Przypomniałem sobie ubiegłą
noc i gałgan podjęty [illegible] wśród ciemności.

Brr... Nogą strąciłem go na ziemię.

Przetarłem oczy. Resztki snu ulotniły się. Otrzeźwiałem zupełnie.

Gdzie jestem?

Pod ręką lewą ukrytą w sianie pościeli uczułem jakiś twardy
przedmiot, który obejmowałem dotąd bezwiednie palcami. Leni-
stwo nie pozwoliło mi dźwignąć się i przekonać, co. Zwróciłem
tylko w tę stronę głowę. Lecz nie zobaczyłem nic; spiętrzo-
na ściana słomy i siana przesłaniała mą rękę wraz
z trzymanym w niej przedmiotem. Zacząłem poruszać pal-
cami wzdłuż..... szczególna! Teraz miałem wrażenie, że
przesuwam je po czemś miękkiem niby po sukni, niby

po czymś rękawie. Nagle zrozumiałem. Ręka moja trzy-
mała w bezwiednym uścisku przez noc całą ramię człowieka.
Jednym podrzutem porwałem się z pryczy i usiadłem.
Wał słomy usunął się, odsłaniając przedemną leżącego
tuż obok na tym samym tapczanie mężczyznę.
Krótkie spojrzenie rzucone na twarz towarzysza zmro-
ziło mi krew w żyłach: poznałem blondyna widzianego
we śnie.
Była to ta sama arystokratyczna twarz, te same wytwor-
ne rysy tylko teraz podkreślone ostrzej rylcem śmierci.
Leżał wyciągnięty sztywno na podściółce słomy.
w pomiętym jeszcze wilgotnym fraku, z ~~nitk~~ pasiora-
mi zielsk wodnych w bujnych, jasnych włosach,
ze smugami mułu na spodniach i gorsie koszuli.
Patrzyłem jak osłupiały, nie dowierzając oczom....
Nagle jednym skokiem opuściłem trupie legowisko
i nie patrząc poza siebie, zacząłem wciągać na ramiona
bluzę. Chciałem wyjść z stąd jak najprędzej, unie

jak najdalej.

W tem z zewnątrz odezwały się ciężkie kroki, i szmer głosów. Przymknięte drzwi odchyliły się i do środka weszło pom[…] mężczyzn: trzech chłopów z wójtem na czele, żandarm, jakieś chuderlawe indywiduum o wyglądzie pisarza gromadzkiego i dwóch gentelmenów. Towarzystwo miało postawę uroczystą, urzędową.

— Komisya śledcza — pomyślałem.

— A pan co tu porabiają? — zapytał mnie wójt grubym, niskim basem.

— A cóż? Przespałem się niechcący w tej izbie.

— Nie wolno. Tuż to trupiarnia — zgromił surowo.

— Wczoraj po nocy zabłądziłem tu, uciekając przed zlewą. Nie wiedziałem, gdzie wchodzę.

— Winszuję noclegu — odezwał się jeden z inteligentów, szczupły brunet z krótką bródką, zapewne lekarz.

— Istotnie dziwnie się [illegible] spało. Te zwłoki?

— Wydobyli tutejsi chłopi wczoraj popołudniu z wody. ~~Ko~~ Rzeka wyrzuciła na brzeg niedaleko młyna.

— Panowie — zagadnąłem — zapewne chcecie teraz przystąpić do sekcji?

— Właśnie. Komisya w komplecie. Panie sędzio — zwrócił się do przysadkowatego pana w urzędniczej czapce z teką pod bokiem — czy zaczekamy na przybycie pana Górzyckiego?

— A właśnie sam jaśnie wielmożny pan dziedzic — chórem odpowiedzieli chłopi, robiąc miejsce ~~jeszcze jednemu~~ mężczyźnie, który w tejże chwili przekraczał próg kostnicy.

Przybyły zdjął szybko biały kapelusz „panama" i objęwszy mary krótkim rzutem oczu, zbladł jak ściana. Pomatem [illegible] ze snu. Zapanowało głębokie milczenie. ~~Lekarz~~ Lekarz otworzył duże, orzechowe puzdro i zaczął dobywać zeń przybory do obdukcji. Połyskiwały pod światło zimne ostrza lancetów,

rozlegał się metaliczny dźwięk rozkładanych w porządku nożów i pincetów....

Wtedy milcząco skłoniwszy się obecnym, opuściłem wnętrze.

Za drzwiami przywitał mię skąpany w rosach porannych rozbrzmiały brzękiem owadów i ptaszków cmentarz. Środkiem białym piaskiem wysypaną ścieżką z rzędkami mogił po stronach. Z niektórych gąszczów zieleni wystawały poprzekrzywiane krzyże w naszyjnikach zeschłych zilików – z poza bukietów jaśminu wychyliła się raz szczerbata już statuetka Matki Bożej – ~~wyciągnął~~ wyciągnęły zwichnięte skrzydła nagrobnych aniołów.... Na trawach mogilnych ~~gał~~ perliły się łzy dżdżu i tęczowały w słońcu. Z ziemi przepojonej wodą szedł ciepły, wilgny wyziew, nasiąkał wonią kwiatów, ziół i dźwigał się w górę ponad drzewa. Na brzozie płaczącej u furty siedział jakiś ptaszek szary, płochliwy i cicho kwilił.....

Stefan Grabiński.

~ Znak. ~

— Passe! —

— Trójka. —

— Spód. —

— Passe. —

— 10 taroków, pagat ultimo, tous les trois!

— Contra!

— Re! — odpowiadał spokojnie pan domu i rozpoczął grę królem czerwiennym.

Papierowy władca zebrał okrężną daninę i nie pzebity po drodze wrócił teraz do właściciela. Rozmuski zadał z kolei taroki, zręcznie a z powodzeniem prowadząc inicyatywę gry. Nie pomogły wybiegi chytrych partnerów zastawiających sidła na muzykalnego pagata — przebiegły cytrysta wymknął się ~~ze~~ z obieży i zgodnie z zapowiedzią w początku tryumfalnie zakończył turę. Rozmuski wygrał.

Powoli, znużonym ruchem zapalił papierosa i zgarnąwszy parę

złotówek, zaczął mieszać karty. Fortuna stała dziś wytrwale za jego krzesłem. Harandowicz podwajał i potrajał stawki – zawsze szczęśliwie: stos złotych i papierowych miljonów po jego lewej ręce rósł bezustannie. Kiedyindziej możeby go powodzenie dziwiło – dziś był zbyt zmęczony, by się nad tem zastanawiać. Grał tylko z automatyczną uwagą, obliczał ze szczególną sumiennością jakby z ~~sumiennością~~ obowiązku, w rzeczywistości obojętny.

Właściwie narzucono mu tę grę, ~~do~~ której zupełnie nie był nastrojony. Uległ tylko życzeniu trzech swoich towarzyszy i przyjaciół z sąsiedztwa, którzy po hucznej zabawie w domu przyszłych teściów Rozmuskiego wynosili się doń już późno wieczorem na partyjkę tarocka. Cóż było począć? Ludzie mili, szczerze mu życzliwi a nadto moralni sprawcy bliskiego już małżeństwa, przyjaciele – swaci. Wsiedli do sań i prosto od Zatęskich zjechali do modrzewiowego dworu rodziny Rozmuskich.

Zjedli krótką, kowalską przekąskę, wypili parę kieliszków starej, gdańskiej wódki i żwawo zasiedli do zielonego stolika. Rozgrzani siarczystym mrozem sporą ilością wychylonych napoi i ciepłem dużej, sta- wspólnej świetlicy panowie rozlokowali się w do- mu przyjaciela swobodnie, nie krępowani obecnością kobiet.

Kostrzycki, wesoły, smukły blondyn z bujną, zawadiac- ką czupryną zrzucił nawet frak i przewiesiwszy go przez grzbiet krzesła, grał, nucąc od czasu do czasu jakąś krotochwilną piosenkę.

Zgorelski, rosły, barczysty właściciel żytomierskiego klucza rozparłszy się szeroko w skórzanym, wypłowiałym już mocno fotelu wtórował mu grubym basem, sięga- jąc w przerwach po butelkę węgrzyna umieszczonego u nóg

jego pod stolikiem.

Trzeci z rzędu, szczupły, z zawiesistym, melancholijnie trochę opuszczonym wąsem Biedrawa milczał zawzięcie, pykając z krótkiej, fajansowej fajeczki.

Na dworze lepił śnieg, na szybach malował krzepkie kwiaty mróz a w kominie buzował pryskający co chwila miotlicą iskier ogień. Zaciszno było w starym dworze, zaciszno i ciepło.

Krwawe błyski ogniska wędrowały bezgłośnie po ścianach i przeglądały czerwonymi plamami zdobyczne, tureckie makaty zwisające od stropu niemal po podłogę. Czasem gorętszy pełgot wymknąwszy się z kominka, trafił celnym rzutem surową jakąś twarz pradziada z portretu i zagrał migotem połysków; sędziwy wojownik jakby kraśniał od pocałunku i skostniałe, surowe rysy łagodniały w pobłażliwym uśmiechu. Czasem swywolny grot ognia

musnął po drodze poważne lico babki-matrony, że wydrążona z wiekowej zadumy, zdołała się zrywem spoglądać wejrzeniem; w ciemnych, głębokich oczach zapalały się jakieś światła, mignęły jakieś błyski, by znów po chwili pogrążyć się w ciemności i zapaść w starczą drzemotę.....

Pan domu był tego wieczora małomowny. Po bladej, posągowo wykutej twarzy jego o iście rzymskim profilu nie przemknął ani razu uśmiech; zimne, zaciśnięte dumnie usta ani razu nie wygięły się linią pogody wesołego żartu. Obojętnie zbywał milczeniem dowcipy przyjaciół, ze spokojnym chłodem odpowiadał na przekorne ich zaczepki. Czarne, mgłą smutku powleczone oko patrzyło gdzieś w przestrzeń, białe, cudnie sklepione czoło marszczyło się chwilami w podłużne, nerwowe bruzdy. Był w nastroju zgoła nie przedweselnym. Usiłowania druhów, którzy już od lat paru dokładali wszelkich

starań, by go wyprowadzić ze stanu dziwnego zobojętnienia, dziś także spełzły na niczem. Ponura zaduma zagnieździła się w sercu tego zamkniętego człowieka.

A młody był jeszcze, młody i piękny. Z pod bujnej wichury kruczych włosów wyglądało oblicze męskie, o liniach mocno zakreślonych, pełne energii i poczucia siły. Podobno niegdyś należał do najweselszych ludzi w okolicy i szalał żarem niespożytego temperamentu na sąsiedzkich zjazdach i kuligach. Dopiero małżeństwo zawarte lat temu dziesięć z Jadwigą Grotkowską zmieniło go najzupełniej. Spoważniał, zaczął unikać towarzystwa, wieść życie w zaciszu domowem.

Różne krążyły pogłoski o pożyciu Kormuskich i gadatliwa plotka snuła o niem najdziwaczniejsze powieści. Najprawdopodobniej jednak szczęśliwem nie było. Związek tych dwojga wyjątkowych ludzi dumnych nad miarę i nad wyraz gwałtownych należał do rzędu tych rzadkich

stosunków, które znachodzą wyjście albo w miłości do świata, do zatraty tchu, zaprzepaszczenia siebie, lub — w śmierci. I tę ostatnią drogę obrała Jadwiga Rozmuska. Pewnej zimowej nocy znaleziono ją martwą, z przestrzeloną na wylot piersią w sypialni męża. W liście ukrytym za gorsetem wyznała dumna kobieta, że ginie z własnej ręki i woli, nie podając przyczyn samobójczego zamachu.
Rozmuski szalał z bólu, wił się z rozpaczy i gdyby nie wyraźne życzenie zmarłej wyrażone w testamencie ~~byłby niewą~~ by zostać przy życiu, byłby niewątpliwie poszedł w jej ślady.
Lecz od owej tragicznej nocy chmura bólu nie zeszła z posępnego czoła. Rozpytywany o szczegóły śmierci i przeszłość małżeńską milczał uporczywie i odmawiał wszelkich zwierzeń. Wogóle nigdy o wypadku i żonie nie wspominał, zawarłszy w sobie przeszłość na

żelazne wszędzie.

Od tego czasu upłynęło lat pięć. Ból ukoił się, złagodniał i przeszedł w stałe zamyślenie. Dopiero w ostatnich miesiącach Rozmuski jakby otrząsł się pod dobroczynnym wpływem przyjaciół i zwolna powracał do życia. Wreszcie ustąpił usilnym ich zabiegom i poprosił o rękę bogatej a pięknej Leokadyi Zołęskiej, córki sąsiada, która podobno od dawna, jeszcze przed zawarciem jego pierwszego małżeństwa darzyła go cichem, nieodwzajemnionem uczuciem.

Stefan Rozmuski zaręczył się. Dzisiejszego wieczora po burzliwych zaręczynach wśród toastów i kwiatów wrócił z drużbami do siebie szarpany burzą wewnętrznych uczuć pod maską obojętności i zadumy...

Rozpoczęto czwartą partyę. Zgorzelski zmieszał karty, rozdał i po przeprowadzeniu licytacyi potoczyła się gra od nowa. W pewnym momencie Rozmuski wyciągnął z wachlarza kart trzymanych w lewej ręce ty-

sego skiza i zagryzając nim, wpatrzył się tępo w jego połyskliwy monokl ....

W tem skrzypnęły z cicha drzwi wchodowe i do pokoju wsunął się nieśmiało Filip, stary sługa domu.

Rozmuski usłyszał ostrożne kroki i zwrócił się doń profilem,

— Jaśnie panie!

— Cóż powiesz stary?

— Jakaś pani w żałobie czeka w sieni i radaby bardzo w ważnej sprawie widzieć się z jaśnie panem.

Rozmuski spojrzał na zegarek:

— Teraz? O trzeciej po północy? Takie fantazya! Pewnie znowu jakaś wdowa po oficyaliście. Nie macie wyobrażenia moi kochani — dokończył w stronę przyjaciół — jak mnie już nuży ta wieczna żebranina. Nachodzą mnie

i drżącą niemal codziennie.

— Jaśnie panie — wtrącił poważnie Filip — znam je wszystkie, bo nie od dziś i nie od wczora tutaj służę — to nie jest żadna z tych. To jest ktoś inny.

Rozmuskiego uderzyło coś w głosie sługi, bo popatrzył nań uważnie, potem wstając od stołu, przeprosił gości:

— Wybaczcie — muszę na parę minut przerwać partyę — zaraz wrócę. — Filipie, przyniesiesz tymczasem panom parę butelek węgrzyna, tego w zielonych flaszkach, wiesz?

— Stanie się, Jaśnie panie.

Rozmuski nacisnął klamkę i zniknął w sieni. Za nim milczkiem wymknął się z komnaty sługa. Goście zostali sami we trójkę.

— A to jakaś romantyczna historya! — zauważył wesoło Kostrzycki. — Odwiedziny o północy w grubej żałobie!

— Ej kto nie — podchwycił. Krotochwilnie Biedrawa — czy wasz Stefan nie ma jeszcze jakichś zaległości wasze[j] doby?

— Aha właśnie, i ja o tem pomyślałem — potwierdził sentencyonalnie Łgowielski — może jakaś malutka likwidacya z ostatniej doby wdowiego bytowania. A w samą porę się zgłosiła — za jaki tydzień, dwa mogłoby być za późno.

Tok dalszych uwag przerwało wejście Filipa z węgrzynem. Stary milcząc postawił trzy omszałe butelki na srebrnej, masywnej tacy i odkorkowawszy, nalał ciemnowiśniowego napoju do dużych, w kryształe rznię[tych] szklanic. Obecność starca zmroziła jakoś wesołość. Wiał od niego jakby chłód i utajona niechęć.

Kostrzycki podniósł pod światło likwor i pojąc oczy jego przedziwnie soczystą barwą, przerwał przykre milczenie:

— Na zdrowie miłego gospodarza i jego przyszłej pięknej żony!

— Na zdrowie vivant! Crescant et multiplicentur! — zawtórowali wszyscy trzej chórem, spełniając toast.

Filip nieznacznie skrzywił się i zabierał do wyjścia.

— No, a ty stary — zatrzymał go w drodze Kostrzycki — nie napijesz się z nami za zdrowie twej przyszłej pani?

Starzec spojrzał nań surowo, i odpowiedział spokojnym, równym głosem:

— Nie — dziękuję wielmożnemu panu — za wielki zaszczyt. Zresztą jedną miałem panią w życiu i tej wiernie służyłem a dziś ona nieboszczka. — Stary ja już, nie zdara — dorzucił z tłumioną goryczą — czas mi już odejść na spoczynek, czas. Nie umiem dwom bogom służyć. —

I nie czekając na odpowiedź, skwapliwie opuścił zasko-

ownych tym wybuchem mężczyzn.

Kostrzycki pierwszy ochłonął ze zdziwienia:

— A to ciekawy stary! Słyszeliście?

— Istotnie, uparty dziwak, któremu trudno nagiąć się do nowych porządków.

— Wiecie - namyślił Biedrawa - wygląda to tak, jakby nie życzył sobie ponownego małżeństwa Stefana.

— Et głupstwo - zawyrokował Zgorzelski. - Chyba nie będziemy zastanawiać się nad sympatjami i zapatrywaniami sługi. Szkoda czasu. Lepiej opowie nam Kostrzycki jedną z swoich kapitalnych anegdot, których spory zapas miewa zawsze pod ręką. —

Wezwany nie bronił się bardzo i popiwszy węgrzynem, zaczął opowiadać. Historja była nader ucieszna i wkrótce humory podniecone winem pieniły się szampańsko

wierną. Za jedną krotochwilą poszła druga, za nią trzecia i dalsze przeplatane częstem wychylaniem szklanek, osnute kłębami tytoniowego dymu, ubarwione pustą piosenką.

Tak mijały niepostrzeżenie chwile i staroświecki zegar rozpięty na kolumienkach wskazywał już czwartą nad ranem.

Podochoceni goście jakoś nie zauważyli przydługiej nieobecności gospodarza i zabawiali się sami w najlepsze.

Dopiero wejście Filipa otrzeźwiło trochę zmęczone głowy.

Biedrawa rzucił okiem na sługę, potem na zegar i nagle spoważniał:

— Filipie, gdzie pan? Czemu do nas nie wraca? Czyżby zapomniał, żeśmy u niego w gościnie?

Dwaj inni również pytająco zwrócili się do starego.

Na twarzy sługi widniało trwożne zakłopotanie:

— Pana niema we dworze.

— Jakto? Wyjechał?

— Może zamknął się na rozmowę w którymś z dalszych pokoi?

— Nie, proszę panów. Jaśnie pan jeszcze nie wrócił.

— Więc wychodził z domu? Kiedy? Dokąd?

Starzec tajemniczo zniżając głos, mówił:

— Było tak. Wyszedłem tuż za panem w sień, gdzie miała oczekiwać go ona pani w żałobie. Rozglądnęliśmy się wkoło — w sieni nie było nikogo. Jaśnie pan myślał, że mi się przywidziało lub że kpię z niego i już chciał mię surowo zgromić, gdy wtem spojrzał ku wyjściu i jakby coś spostrzegł. Ja nic nie widziałem..... Pan otworzył drzwi i wyszedł na podwórze; ja za nim, lecz ręką wstrzymał mię i kazał nie ruszać się z miejsca. Potem przeszedł podwórzec, ciągle patrząc prosto przed siebie jak ślepiec

z wyciągniętemi naprzód ramionami, którego ktoś prowadzi. Tak przeszedł podwórze, klepisko i przez bramę wjazdową wyszedł na drogę przed dworem. Stangret, który drzemał we wozowni widział go także, jak brnął przez śnieg i otwierał wierzeje – lecz oprócz pana nie dojrzał nikogo ani żywej duszy.... I tak wydostał się na czyste pole w mróz, w zawały śnieżne po kolana. Bez płaszcza poszedł, bez czapki, tak, jak wstał stąd od stołu. Widziałem go z dworu jak na dłoni. Wyraźnie czernił się na śniegu – noc dziś księżycowa....

– Czemużeś nie zarzucił nań przynajmniej okrycia? – przerwał zmienionym głosem Kostrzycki – Tam na polu będzie z 20° mrozu. –

Stary bezradnie opuścił głowę:

– Nie śmiałem iść za nim, zabronił wyraźnie. W oczach miał przytem takie błyski, że coś mię od niego odpychało.

— I cóż dalej? Dokąd zaszedł?

— Nie wiem. Widziałem go jeszcze czas jakiś na gościńcu; potem skręcił ~~na~~ w lewo....

— W lewo — podchwycił Bilbrawa — Ależ trakt główny skręca w przeciwną stronę! Na lewo biegnie droga....

— Na cmentarz — dopowiedział półgłosem sługa. — Tam mi zniknął z oczu....

— Niema ani chwili do stracenia — zawołał nagle Zgorelski, opanowując przemocą dziwne uczucie lęku, jakiem przejęły obecnych słowa Filipa. — Trzeba zwołać parobków i ~~za~~ zaprzęgać obie sanie. Może go jeszcze ocalimy, o ile dotąd nie zamarzł. —

— Parobków już wystałem — odparł Filip — a sanie wielmożnych panów też gotowe do odjazdu.... Złą noc podobno

wybrali ponownie na zabawę, bardzo złą noc....

Mężczyźni już na wychodnem równocześnie zwrócili się pytająco ku starcowi:

— Dzisiejszej nocy - objaśnił - przypada rocznica śmierci nieboszczki pani.

Gdy domawiał tych słów, drzwi od sieni otworzyły się i do pokoju wszedł Kormuski.

Okrzyk przerażenia powitał go u progu. Mimowoli jak przed widmem cofnęli się wszyscy w głąb sali.

Był blady jak płótno i zesztywniały jakby od mrozu. Gęste okiście szronu srebrzyły się na wąsach, wąska, biała taśma lodu obrzeżyła klapy fraka.... Patrzył w nich fosforyzującemi obłąkaniem i grozą oczyma...

Tak upłynęło parę ciężkich jak wieczność sekund.

Wreszcie rzekł bezdźwięcznym, jakimś obcym głosem:

— Zostawcie mnie samego.

Drewnianym krokiem podszedł do fotelu pod oknem i runął weń złamanym, bezwładnym ruchem. Znużona głowa opadła ciężko na poręcz, oczy zanurzyły się w przestrzeń pól. Wtedy spostrzegli, że Kormuski był siwy jak gołąb......

Milcząc trzech mężczyzn opuściło pokój i pośpiesznie odziawszy futra, odjechali. Jakiś czas dochodziły z oddali srebrzyste potrząsy dzwonków i rżenie wyprzęgłych koni. Potem zaległa cisza.....

W komnacie szemrał pod dzwonem pacierze zegar północny, krzątał się ostrożnie Filip, zbierając kar-

ty i gasnące dogorywające świece....

Przez szybę spływał niebo ~~do soli~~ brzask na pochyloną nisko, mleczno-białą głowę mężczyzny w fotelu.........

— — — — — — — — — — —

W trzy tygodnie potem rozeszła się po okolicy wiadomość, że Stefan Rozmuski zerwał z narzeczoną.

110

Wołanie ucichło.. [illegible]

~~[illegible]~~ [illegible]

~~[illegible]~~ [illegible] przeszedł do fotelu przed sto-
łem . . . .

i runął w nim z łamanym, bezwładnym ruchem. Z-

łona głowa opadła ciężko na poręcz, oczy zamknęły

[illegible]

[illegible] że Stefan [illegible]

Milcząc trzech mężczyzn opuściło pokój i pozapi-
nawszy futra, odjechali. Jakiś czas dochodziły

z sieni odgłosy potrząsanych dzwonków u sanie [illegible]

[illegible], potem zaległa cisza..

W komnacie [illegible] pod dzwonem [illegible]

[illegible], kryształ się ostrożnie [illegible]

66

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

1.

W zakładzie dra Ludzimirskiego zaniosło się na wielką uroczystość. Z parku otaczającego lecznicę, wnoszono wazony z oleandrami o świeżo rozwiniętych, blado-różowych pęczach, doniczki z kannami w posępnej, ciemno-czerwonej urodzie, pomarańczowo-ogniste irysy i tulipany. Grzogorz ogrodnik z widoczną niechęcią wydobył z oranżerji rzadkie okazy dalhji, bliźniaczą parę eukaliptusów i ukochaną palmę — „królowę Kaszmiru“ i ostrożnie ustawił kwiaty pod ścianami kurytarzy.

Na schodach, wiodących na piętro, rozbłysły żyrandole, rozrzucając z pod abażurów świetlane rozety blasków. W powietrzu unosiła się dyskretna woń werweny i heljotropu...

Kierownik zakładu w smukłym fraku przechadzał się po kuluarach gibkim, elastycznym krokiem, poprawiał świece w siedmioramiennych, bronzowych świecznikach, zaglądał od czasu do czasu przez kotarę w głąb „sali centralnej“, dokąd służbie wstęp był surowo wzbroniony, to znów zadowolony z wyniku rewizji, zwracał uwagę krzątającym się w liberji lokajom na pewne braki, jakie jeszcze tu i ówdzie wyzierały. Zresztą usterki były drobne i obyci znać już z akcesorjami uroczystości ludzie, usuwali je z łatwością i wprawą.

Bo też nie po raz pierwszy urządzano coś podobnego w zakładzie, „Święto Gebrów“ miało tu za sobą już pewną tradycję. Ceremonjał obrzędowy rozwijał się w zakładzie już od lat kilku, dzięki pomysłowości jego „wychowanków“ i troskliwej opiece, jaką go otaczał sam kierownik.

Bo dr Ludzimirski stosował w leczeniu oryginalną metodę, polegającą na tem, by nie tylko w niczem nie sprzeciwiać się swym pacjentom, lecz owszem podtrzymywać, względnie „pielęgnować“ z całym pjetyzmem „egzotyczne kwiaty, wyrosłe z podłoża chorych mózgów“. Chodziło o to, by manja rozwinęła się do ostatecznych możliwości i przeszedłszy wszystkie możliwe stadja i ewentualności, wyczerpała się i zginęła na uwiąd; wtedy miało nastąpić uzdrowienie. Zresztą nawet w wypadkach nieuleczalnych taka „hodowla obłędu“ mogła, zdaniem jego, przynieść olbrzymią korzyść, jeśli nie dla danego pacjenta, to przynajmniej dla nauki, wzbogacając nadzwyczajnie psychologję chorób umysłowych.

To też od chwili objęcia zakładu, t. j. od lat temu 15 z górą, prowadził psychjatra starannie dziennik przeżyć swych wśród obłąkanych, z których każdy miał poświęconą sobie osobną kartę. Z czasem notatki te urosły w szereg ciekawych życiorysów, traktowanych już oddzielnie, niby zamknięte księgi chorej myśli i jej dziwnych kolei.

Początkowo lekarz zdawał sobie dokładnie sprawę z przepaści, oddzielającej ten zabłąkany świat od sfery zdrowej, normalnej, chwytał w lot właściwe dystanse i dostrzegał z miejsca krzywizny i zboczenia. Powoli różnice te poczęły dlań zacierać się i przestały razić; owszem, po kilku latach tak oswoił się z szaleńczą dziedziną, że stała się mu niejako drugą rzeczywistością i to nawet znacznie głębszą i godniejszą uwagi, niż ta, w której obracali się ludzie poza jego zakładem. Dostrzegł w niej bowiem niejednokrotnie swoistą organizację, opartą na żelaznej, nieubłaganej logice. Co więcej, życie duchowe jego wychowanków wydało się znacznie bogatsze niż banalne historje „przeciętniaków“, odśpiewujących niezmiennie, aż do znudzenia monotonne litanje codzienności.

Wtedy to zaszło w dziejach zakładu zdarzenie, które miało zaciężyć potężnie nad jego przyszłością. Stał się niem wybuch obłędu u dra Janczewskiego, osobistego przyjaciela Ludzimirskiego i w następstwie przyjęcie go w poczet pacjentów zakładu. Janczewski był potężną indywidualnością. Prace jego z zakresu psychofizyki wzbudzały zawsze ożywioną dyskusję w świecie naukowym, gdyż każda niemal rozprawa stanowiła epokę w dziejach badań psychicznych. To też wiadomość o jego chorobie sprawiła na wszystkich przygnębiające wrażenie. Ludzimirski odczuł to podwójnie głęboko i zajął się przyjacielem z ojcowską pieczołowitością.

Choroba wybitnego psychologa należała do typu, określonego przezeń, jako melancholja progressiva z domieszką t. zw. idées fixes. — Treść tych uporczywych myśli była nader swoistą: Dr Janczewski stał się manjakiem na temat ognia. W ciszy samotnych godzin, spędzonych w celi zakładu, wypracował cały system t. zw. przez siebie „filozofji ognia“, w której, nawiązując do teorji Heraklita i jego »panta rhej«, rozwinął zupełnie nowy, obłąkańczo oryginalny światopogląd.

Wkrótce po wykończeniu swego traktatu, a mniejwięcej w rok po wybuchu obłędu, umarł nagle w przystępie szału.

Lecz praca szaleńca nie miała przebrzmieć bez echa. Rękopis, odnaleziony po śmierci uczonego, przechowywał Ludzimirski starannie u siebie, by kiedyś po zaopatrzeniu go we własne odnotacje i spostrzeżenia, wydać jako pośmiertne dzieło genjalnego przyjaciela. Na razie przestudjował pracę jak najdokładniej i zestawiwszy z poprzedniemi rozprawami zmarłego, starał się uchwycić ogniwa łączące. Orjentację w myślach często porwanych, rzuconych na papier bezładnie i bez porządku, ułatwiły wspomnienia wspólnych rozmów na ulubiony temat, jakie niejednokrotnie prowadził ze ś. p. p. Janczewskim już w czasie jego pobytu w zakładzie.

Zagadnienie, które oczarowało duszę opętańca w ostatnim roku jego ziemskiej wędrówki, zdawało się pogłębiać z rokiem każdym w umyśle Ludzimirskiego, nabierając kształtów pełnych i wykończonych. Lecz nie tylko na samym kierowniku lecznicy wywarło dzieło przedwcześnie zgasłego myśliciela tak silne wrażenie. Potężna jaźń Janczewskiego porwała w swoją orbitę i inne dusze. Mimo zupełnego prawie odcięcia go od reszty pacjentów, wpływ uczonego zatoczył rychło niewidzialne kręgi. W parę tygodni po przyjęciu go do zakładu, zauważył Ludzimirski szczególne zjawisko, które można było wytłumaczyć tylko t. zw. „zarazą psychiczną“. Kilku z pomiędzy chorych zaczęło nagle zdradzać skłonność ku ideom musowym właśnie na temat ognia i jego symboliki.

Najciekawszym był szczegół, że paru osobników o ustalonej już strukturze obłędu, porzuciło świat swego monoideizmu, przechodząc w dziedzinę Janczewskiego. Potężna umysłowość umiała znać czarować i pociągać za sobą nawet w stadjum chorobliwem...

Ludzimirski, jak zwykle, nie przeciwdziałał. Owszem stwierdziwszy wprzód, że ów duchowy prozelityzm na rzecz zmarłego przyjaciela i jego „wiedzy ognistej“ odbywał się u rozmaitych wychowanków całkiem samorzutnie i bez wzajemnego na się oddziaływania, starał się skupić ich w rodzaj stowarzyszenia czy gminy przez ułatwienie im wymiany myśli i częste schadzki na terenie „sali centralnej“.

(C. d. n.).

Nowa Reforma 1920, nr. 216-221.

trwają poszukiwania. Nie jest wykluczone, że dostali się do niewoli bolszewickiej, bo część żołnierzy wzięto od niewoli. Wielu zwłok nie można rozpoznać, bo trupy, a zwłaszcza głowy, są zmasakrowane w nieludzki sposób.

W obronie Naczelnika państwa.

Warszawa, 11 września (Tel. wł.) Rada ministrów postanowiła przedstawić Radzie O. P. projekt ochrony Naczelnika państwa przed napaściami ze strony prasy. W każdym takim wypadku prokuratorja będzie ścigać bezpośrednio takie występki.

Hołd Torunia dla Naczelnika państwa

Toruń, 10 września (PAT). Przedwczoraj odbył się tu wiec, zwołany przez narodową partję robotniczą na temat» Wojna a pokój«. — Wiec ten przy równoczesnej obecności w Toruniu prezydenta ministrów, zamienił się **w poważną manifestację, na rzecz jedności państwa i armji, a przeciwko wszelkim zakusom separatyzmu.** We wiecu uczestniczyło z górą 5 tysięcy osób.

Przyjęto szereg rezolucyj, między innemi **rezolucję, wyrażającą Naczelnikowi państwa i wodzowi naczelnemu oraz rządowi obrony państwa hołd i uznanie. Zebrani piętnują wszelką agitację, podkopującą zaufanie do naczelnych władz państwowych i rządu centralnego.** — Uchwaloną rezolucję wręczono po wiecu prezydentowi ministrów, który życzliwie przyjął te postulaty.

Kwestja robotnicza w Anglji.

Londyn, 11 września (Tel. wł.) Kongres trade-unjonistów powziął wczoraj **ważne uchwały.** Komisja parlamentarna »Labour Party« będzie zastąpiona przez **Radę jeneralną,** obdarzoną bardzo szerokiemi pełnomocnictwami. Rada ta będzie miała za zadanie **skoordynować całą akcję robotniczą** trade-unjonistów we wszystkich sprawach zasadniczych i we wszystkich sporach, mogących wyniknąć między trade-unjonistami a właścicielami i rządem. W radzie tej po jednym delegacie będą mieli górnicy, robotnicy portowi i kolejarze. Robotnicy innych gałęzi będą mieli razem 4 przedstawicieli.

Londyn (East Express). **Rokowania między górnikami a ministrem handlu rozbiły się.** — Mają być podjęte na nowo przez Lloyd Georgea, który zwołał ministrów zainteresowanych w przesileniu i ma wziąć w ręce kierownictwo rokowań.

Sprawa robotnicza w Czechach.

Praga, 11 września (PAT). »Narodni Listy« donoszą: W ministerstwie opieki społecznej toczą się obecnie **narady nad ustawą w sprawie udziału robotników i urzędników fabrycznych w zysku.** Na wczorajszych obradach minister opieki społecznej dr Winter skonstatował, że w kwestji uregulowania udziału robotników i funkcjonarjuszy w zyskach nie doszło dotąd do porozumienia i że obrady natrafiają na trudności.

Toruń, 11 września. [...] podaje: Ze Sztumu donoszą **o terorze wobec ludności polskiej,** co następuje: W Mikołajkach napadnięto w nocy na mieszkanie państwa Tomczaków, Stachowiaka i Przepiórskiego, powybijano im szyby oraz wygrażano się, że zostaną zabici, jeżeli się nie wyniosą. W Białym Dworze powybijano szyby i potrzaskano meble p. Stasińskiemu i Pestce. W Brunswałdzie napadnięto na ulicy na p. Kurkowskiego i na p. Stawikowskiego, odgrażając się, że ich zabiją, jeżeli się pokażą na ulicy. W Giecwałdzie poraniono p. Zakrzewskiego. W Konieczwałdzie i wielu miejscowościach zapowiadają Niemcy nowe rugi przymusowe.

Toruń, 11 września (PAT). Jak podaje »Gazeta Toruńska«, z północno-wschodnich krańców województwa pomorskiego donoszą, że **Niemcy ustawicznie planują i przygotowują napady zbrodnicze na nasze posterunki kontrolne.** Ostatnio trzech Niemców z Sicherheitswehry zamierzało zgładzić w sposób skrytobójczy nasz posterunek, który jednak uprzedzony zawczasu przez ludność polską o grożącem mu niebezpieczeństwie, zdołał wczoraj unicestwić ten niecny zamiar »neutralności niemieckiej«. Z całego naszego pomorskiego pogranicza północno-wschodniego ciągle dochodzą wieści o **podejrzanem gromadzeniu się Niemców,** o ustawicznych próbach rozbijania zapór granicznych siekierkami, wynuszanemi od ludności polskiej. Prócz tego ośmielił się niejaki podporucznik Treze, komendant tamtejszej niemieckiej straży granicznej »zakazać« oddziałom naszym patrolowania na granicach, grożąc w przeciwnym razie przyjściem Reichswehry i

[...] kakrotnych nagleń, żeby Kraków wszedł na etat ministerstwa aprowizacji, minister zarządził wobec trudności wojennych, aż do ich usunięcia, przejście miasta na etat wydziału aprowizacyjnego przy jeneralnej delegaturze. Posiedzenie skończyło się późno, wobec czego obszerniejsze sprawozdanie podamy w dniu jutrzejszym.

OTWARCIE BIBLJOTEKI MUZEUM PRZEMYSŁOWEGO DLA PUBLICZNOŚCI. Celem uprzystępnienia jak najszerszym warstwom korzystania z bibljoteki miejskiego muzeum przemysłowego im. dra Baranieckiego w Krakowie, ul. Smoleńsk 9, II p., wprowadza się od września br. nowe zarządzenie, w myśl którego czytelnia dostępną będzie dla wszystkich bezpłatnie w godzinach od 10 do 1 i od 5 do 8 wieczorem.

O OTWARCIE SZKOŁY IM. KONARSKIEGO. — Wczoraj do prezydjum miasta przybyła delegacja nauczycielek szkoły im. Konarskiego z prośbą o uwolnienie szkoły od kwaterunku oficerskiego w celu rozpoczęcia nauki od 15 bm. Wiceprezydent Sare zapewnił delegację, że usunięcie kwaterunku oficerów, mieszkających obecnie w tej szkole nastąpi niebawem, wobec czego nauka w nadchodzącym roku szkolnym rozpocznie się bez przeszkody.

W SPRAWIE ZASIŁKÓW WOJSKOWYCH. Wedle rozporządzenia Rady obrony państwa w Warszawie wprowadzono normy, tyczące się rodzin, ubiegających się o zasiłki wojskowe, na podstawie których żony wojskowych mają otrzymać 300 mk., dzieci 200 mk., a rodzice 100 mk. miesięcznie. Jeżeli powołany do wojska nie jest żonaty, wówczas rodzice pobierają zasiłek w wysokości przyznawanej dzieciom, które mają do niego prawo do 14 roku życia bezwzględnie, do 18 roku, jeżeli uczęszczają do szkół, zaś ponad 18 rok skoro są stale i trwale niezdolni do pracy. Rodziny oficerów mają prawo do zasiłku, jeżeli ci w kasach wojskowych nie pobierają zasiłku na żony i dzieci, rodzice zaś wtedy, gdy złożą poświadczenie, że powołany do wojska nie jest żonaty i z kasy nie pobierał dodatku na rodziców. Powyższe rozporządzenie odnosi się tylko do rodzin wojskowych z armji polskiej, a nie do rodziców poległych, zaginionych i inwalidów b. wojsk austrjackich, które i nadal pobierają zasiłki wedle dotychczasowych norm. Natomiast

[...] nych przedmiotów liturgicznych. Przedmioty te pochodzą zapewne z kradzieży, popełnionej w ostatnich czasach w kościołach krakowskich.

WŁAMANIE. Onegdaj w nocy nieznani sprawcy włamali się do pałacu p. Czeczowej w Bieżanowie koło Krakowa i skradli 8 drogocennych futer damskich i męskich, uratowanych przed inwazją bolszewicką ze wschodniej Małopolski, oraz większą ilość srebra stołowego z herbem, tudzież monogramem J. Cz. Przedmioty skradzione przedstawiają wartość około miljona marek. Policja krakowska przy pomocy psa policyjnego „Aida" prowadzi na miejscu dochodzenia.

O NAPADY RABUNKOWE. Wczoraj zakończyła się przed sądem okręgowym rozprawa przeciw szajce bandytów, którzy w r. 1919 dokonali napadów rabunkowych na dom gospodarza Otwina, tudzież dwukrotnie na klasztor OO. Cystersów w Mogile, przyczem skradli rozmaite przedmioty wartości kilkudziesięciu tysięcy koron. Po przesłuchaniu kilkunastu świadków, tudzież wywodach obrońców, trybunał na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych skazał Wąsikowskiego na 10 lat, Strychalskiego na 3 lata, Chojnackiego na 2 lata, a Chytrzyńskiego na 1½ roku ciężkiego więzienia. Nadto za ukrywanie skradzionych przedmiotów skazano Tomasza Milczanowskiego na 5 miesięcy, a Reginę Milczanowską na 4 miesiące więzienia.

NIEUDAŁA WYPRAWA WŁAMYWACZY. We wtorek znaleziono na parceli obok składu z dekoracjami teatralnemi przy ul. Radziwiłłowskiej w Krakowie narzędzia do włamania do kasy, które ukryli jacyś złodzieje, by w nocy móc przeprowadzić włamanie do którejś z kas, prawdopodobnie w znajdującym się w pobliżu urzędzie zbożowym. Policja natychmiast zarządziła na tej ulicy nadzór i w nocy przychwyciła na wspomnianej parceli znanych włamywaczy, a mianowicie Wojciecha Skowrona, lat 28, Wincentego Kiebzaka, lat 26 i Henryka Heilmanna, lat 27. Trójkę aresztowano w chwili, gdy przybyła po znalezione narzędzia. W czasie śledztwa oczywiście wypierali się wszyscy, jakoby oni narzędzia ukryli, jednak znalezione przy nich przedmioty złodziejskie świadczą o zamierzonej wyprawie.

Z KRONIKI KRADZIEŻY. Przytrzymano wczoraj na tandecie przy ul. Szerokiej niejakiego Józefa Ćmie-

„N. Reforma" Kraków 12 września 1920 Niedziela.

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

2 (Ciąg dalszy).

Po śmierci filozofa wpływ jego wzrósł do niebywałych rozmiarów i rozpanoszył się wszechwładnie po całym zakładzie, wiedza ognista wchłonęła w siebie niemal wszystkie te biedne, zabłąkane w labiryncie myśli dusze, przyćmiewając sobą nikłe roślinki jaźni drugo- i trzeciorzędnych. Prócz kilku niepoprawnych manjaków, chorych na dementia praecox, dementia paralytica progressiva, lub też paranoia senilis, reszta pacjentów hołdowała bezwzględnie filozofji ognia.

W rok po śmierci Janczewskiego zawiązało się w lecznicy bractwo „Gebrów“ czyli „Czcicieli ognia“ pod protektoratem kierownika zakładu. Co miesiąca urządzano wspólne pogadanki i odczyty, omawiano program przyszłych zadań towarzystwa, krytykowano, rozprawiano, debatowano zajadle.

Postać Janczewskiego urosła do rozmiarów proroczych, unosiła się niejako duchowo nad temi zebraniami; stał się zakładowym świętym, nazwano go swoim Zaratrustą; dzieło jego, odczytywane na posiedzeniach, nabrało z czasem znaczenia kanonu wiaru, przetworzyło się w rodzaj biblji i księgi objawień.

Wkrótce rozwinął się kult religijny ognia. Powstały z łona bractwa wydział, niby rodzaj kasty, miał sprawować wyłącznie czynności kapłańskie. I nazwano tych ludzi wspólnem mianem Mobed czyli kapłanami ognia. Powoli wytworzyła się hierarchja i podział na stopnie, wedle rodzaju wtajemniczenia. Wypracowano ceremonjał, ułożono rytuał dla wiernych.

Dominujące stanowisko w bractwie zajął sam Ludzimirski, w którym wyznawcy ognia wyczuli odrazu twórcę i organizatora. Kierownik zakładu był zarazem duchowym spadkobiercą Janczewskiego — Zaratrusty i pierwszym po nim prorokiem. Stał ponad zborem wolny od spełniania obrzędowych przepisów i formuł rytuału. Bracia między sobą nazwali go Atar'em czyli genjuszem przyrody.

Drugim duchem twórczym sekty i prawą ręką Ludzimirskiego w organizowaniu bractwa, był Athrarvan czyli Człowiek Płomienny, arcykapłan ognistej gminy. Najmłodszy z wiernych i najgorętszy wyznawca ogniowego kultu, przed wstąpieniem w progi zakładu ubogi, gruźlicą płuc zagrożony akademik, teraz urósł do godności duchowego menera, dzięki swemu fanatyzmowi i namiętności. Podobno nazywał się kiedyś Zarębski, lecz nazwisko jego światowe, wpisane w księgę chorych, wypadło wszystkim z pamięci: utonęło w ognistej sferze nowej wiary, by wyjść z niej oczyszczone z ziemskiej pospolitości i zabłysnąć świetnie w dymach ofiarnych kadzideł, w płomieniach obrzędowych objat.

On to przy pomocy kierownika stworzył właściwie zmodernizowany kult ognia, przystosował starą wiarę Avesty do zmienionych czasów i warunków. Najbardziej prostolinijny i najkonsekwentniejszy z grona braci, ustalił przebieg nabożeństw, ułożył ogniste litanje i hymny. Z jego to polecenia wprowadzono w zakładzie raz na miesiąc uroczyste nabożeństwo, zwane „Świętem sześciu ramion ogniowych“, pod wpływem jego płomiennych kazań obchodzono dwa razy w roku obrzęd na cześć Mithry Cierpiącego.

I gdyby nie dzielne poparcie, jakie znachodził Atar w jego fanatyźmie, bractwo nie dałoby się na długo utrzymać we formie choćby zbliżonej tylko do ideału, jaki sobie wymarzył Ludzimirski.

Krnąbna umysłowość braci potrzebowała silnej ręki, by ją utrzymać na wodzach, wątłe i rachityczne roślinki ich myśli dopraszały się ustawicznej pielęgnacji, kapryśna wyobraźnia wymagała ciągłego ujmowania jej w karby, by nie popaść w bezdroża nonsensu.

I mimo obopólnych wysiłków nie zawsze się im udawało. Zgromadzenia często grzeszyły bezładem myśli, wichrowatością pojęć i warcholstwem ruchów. Jakiś ukryty djablik psuł niemal zawsze powagę nastroju, wprowadzając w miejsce pietyzmu i podniosłości, żywioł krpiąco-sowizdrzalski.

Już to wogóle kierunek, jaki po roku przybrała pirolatria, bardzo się nie podobał obu jej twórcom i kapłanom. — Raziła niepoprawna lekkomyślność, z jaką traktowali wyznawcy kwestje wiary i nauki, bolała naiwna zmysłowość w pojmowaniu głębokiej symboliki żywiołu. Najwstrętniejszą jednak wydała się wyraźna skłonność braci do interpretacji kultu w duchu djaboliczno-seksualnym. Obecność kobiet wśród czcicieli ognia przyczyniła się niewątpliwie w znacznej mierze do wybujania niepożądanego elementu.

Metoda niesprzeciwiania się, stosowana dotąd tak skutecznie, niebawem okazała się niebezpieczną, może nawet zgubną: Gebrom zaczęło grozić zupełne rozpasanie etyczne. Kult ognia przeradzał się zwolna lecz wyraźnie w wyłączną cześć dla Arymana i jego sześciu szatańskich satelitów, zaistniała poważna obawa, że święte obrzędy zamienią się wkońcu na wyuzdane orgje krwi i rozpustnej chuci. Już parę razy zdarzało się, że w czasie uroczystych zebrań kilku z pomiędzy mobedów uprowadzało w głąb sali chętne niewiasty, niby leśne syleny w pogoni za jurnemi nimfami. W chwilach najdonioślejszych skupień, rozlegał się z kątów lubieżny chichot satyrów lub syreni śmiech pieszczonych miłośnic.

Zgromieni przez Atora bracia pozornie ulegali, kając się w obłudnej skrusze, by ukradkiem, poza plecyma arcykapłanów korzystać ze sposobnej chwili, zaspakajając głód zmysłów rozjuszonych samek. Występek przybrał wkońcu charakter groźny i zbrodniczy. Pewnego dnia znaleziono w jednej z cel zwłoki obnażonej siostry Fiammety z pianą na ustach. Śledztwo wykazało, że wyzionęła ducha, załaskotana na śmierć przez jednego z „raspi'ch«, czyli służebnych kapłanów.

Nie pomogła chłosta cielesna, wymierzona winowajcy w obecności wszystkich z nakazu Athrarvana; nieodstraszeni przykładem Gebrowie, zapuszczali się dalej w manowce porubstwa. Wtedy arcykapłan chwycił się ostrzejszych środków: zaczął ograniczać swobodę braci, nakładał post ścisły, wprowadził biczowanie. By dać przykład, sam nie uchylał się od pokuty i z bohaterskiem samozaparciem się, odrzucał z pogardą ponęty uroczej Pyrofili, jednej z przodowniczek ogniowego chóru. Czystość kultu podtrzymywał przez wprowadzenie częstszych niż dawniej nabożeństw i ofiar, których wzniosłą symbolikę wyjaśniał w płomiennych, pełnych religijnego patosu przemowach...

Dzisiejsze święto miało być podwójnie uroczyste; schodził się w niem bowiem t. zw. „dzień dobrych żywiołów“ z rocznicą śmierci zakonodawcy sekty, Janczewskiego.

To też przygotowania prześcignęły wszystko, cokolwiek dotąd dla kultu zrobiono; Ludzimirski chciał, by w dzisiejszy wieczór zabłysnął w pełnej krasie egzotyczny kwiat ognia i wydał owoc dojrzały, niezwykły, jak ów krzew cudowny z baśni dalekiego Wschodu, co raz na wiek stroi się w pęcze i płód ma przewonny, jedyny...

Rozległ się dźwięk elektrycznego dzwonu na znak rozpoczęcia uroczystości.

Po obu stronach długich, kobiercami wysłanych korytarzy, pootwierały się drzwi i z cel zaczęły wychylać się postacie braci, spieszących niecierpliwie na obrzęd. Wszyscy zdążali do sali centralnej na piętrze, przemienionej już od roku na świątynię ognia. Jedni przybrani byli w pomarańczowe chylaty wschodnich ofiarników, inni wdziali stroje fantastyczne, pełne obrzędowej symboliki i barwy, parę kobiet wystąpiło w białych, powłóczystych płaszczach rzymskich Westalek.

Kotara, oddzielająca świątynię od przyległej poczekalni, rozsunęła się na dwie strony i przepuściwszy w głąb sanctuarium tłum braci, zamknęła się za nimi z powrotem...

(C. d. n.).

a

najpodnioślejszych

...skiego.

Lyon, 12 września (PAT). Konferencja ambasadorów, która zebrała się w piątek rano pod przewodnictwem Juljusza Cambona, postanowiła wysłać **notę do Niemiec, protestującą przeciwko aresztowaniu w kanale kilońskim statku, zdążającego do Gdańska**. Badała ona również notę niemiecką, protestującą przeciwko decyzjom, powziętym przez aljantów co do plebiscytu w Kwidzynie.

NIEMCY WYPUSZCZAJĄ BOLSZEWIKÓW.

Gdańsk, 12 września (PAT). »Dziennik Gdański« donosi **o masowem przechodzeniu przez granicę bolszewików, internowanych przez Niemców w Prusach Wschodnich**. Bolszewicy — pisze »Dziennik Gdański« — łączą się w punktach koncentracyjnych z armją bolszewicką. **Władze niemieckie pozwalają na to otwarcie, udzielając jeńcom wszelkiej pomocy**. I tak np. stwierdzono, że pewien wyższy oficer w Arys oświadczył bolszewikom, że ich rozpuszcza i że mogą czynić, co się im podoba. Ogromne masy bolszewików pod Goldawą przechodzą pod dowództwem oficerów, którzy są zaopatrzeni w mapy i kompasy. Im bliżej granicy, tem większe bandy bolszewickie skupiają się, mając dokładnie oznaczoną marszrutę. **Nietylko rząd niemiecki, ale ludność niemiecka wspomaga uciekających wszelkiemi sposobami, udzielając im żywność itd.**

CZESI WSTRZYMUJĄ AMUNICJĘ DLA POLSKI.

Wiedeń, 12 września (PAT). Donoszą z Pragi wedle doniesienia »Prava Lidu«: **W Przerowie zatrzymali tamtejsi kolejarze transport mundurów i amunicji, przeznaczone dla Polski.** Unja kolejarzy obradowała nad ewentual-

wać za to będzie towary metalowe i wiedeńskie. Traktat będzie wymagać ratyfikacji Sejmu.

Warszawa, 12 września (Tel. wł.) Z wiarogodnych źródeł dowiaduję się, że pobyt min. Grabskiego w Paryżu został **przedłużony na czas nieokreślony**, a to wobec układów, toczących się tam **w sprawie koncesyj, jakich zażądała Francja za udzieloną Polsce pomoc.** Jak się dowiaduję, na dotychczasowych naradach zostało już ustalone ustąpienie Francji dużego udziału **w monopolu tytoniowym** w Polsce. Dalsze układy dotyczą sprawy nafty i cukru.

Take Jonescu o „małej entencie".

Wiedeń, 12 września (PAT). Donoszą z Paryża: Take Jonescu oświadczył w Aix-les-Bains w wywiadzie z korespondentem »Excelsior«, że mała ententa jest **wprawdzie mała w porównaniu do ententy mocarstw zachodnich, jednak dla osiągnięcia swych celów jest dostatecznie wielką.** Gdyby przybrała takie rozmiary, o jakich się mówiło w roku 1918 i 1919, musiałaby sięgać od morza Bałtyckiego aż do morza Egejskiego i objąć wszystkie państwa zwycięskie wschodnie. **Polska nie mogłaby pozostać poza tą ententą.** Narazie podstawą przymierza między Czechosłowacją a Jugosławją jest traktat w Trianon i wspólność interesów między Rumunją a Czechosłowacją. Traktat z Trianon musi pozostać nienaruszony. Jest krótkowidztwem traktować każdy traktat z osobna. Wszystkie stanowią całość. Mała koalicja byłaby przeciwwagą wobec Niemiec i Rosji, gdyby te państwa utworzyły blok przeciw traktatowi wersalskiemu. Należy się liczyć z możliwością, że państwa zwyciężone znowu

lecz trzeba czynić dalsze za nią wiercenia i doprowadzać ją na miejsce przeznaczenia. To już mógł był rząd polski uczynić i bogdaj prowizoryczne nowe jakieś, drewniane na razie łazienki zbudować. Byłoby to więcej celową akcją, niż zbudowanie kąpieli słonecznych, nawiasem powiedziawszy w miejscu nieforemnie obranem (naprzeciw pensjonatu dra Zarzyckiego).

Daje się także odczuwać coraz dotkliwiej brak większego, po europejsku urządzonego hotelu. »Dom Zdrojowy« nie może zastąpić hotelu, a wille, czyli pensjonaty, nie odpowiadają wzmagającej się frekwencji, nie mówiąc już o tem, że z pewnemi wyjątkami, budowane są dość prymitywnie i nie dają wygód chorym zwłaszcza ludziom, którzy tutaj nie dla zabawy, lecz dla poratowania zdrowia zjeżdżją. Parterowe mieszkania w takich drewnianych willach wtłoczonych często w zalesione zbocza gór, przeważnie wilgotne, dają się we znaki, zwłaszcza w czasie słoty i chłodów.

Nie pomyślano też dotychczas w Krynicy, pomimo, że istnieje ona już wiek cały i do najstarszych w Polsce kąpieli należy, o zbudowaniu szpitala, urządzonego w duchu nowoczesnym. — Jest tylko szpitalik izolacyjny, który zwykle stoi pustką. A przy takim, jak obecnie, napływie kuracjuszów, trafiają się wyadki poważniejszych zasłabnięć. I wtedy dopiero rozgrywają się tragiczne sceny. Sprowadza się na przykład lekarza specjalistę dla wykonania nie cierpiącej zwłoki operacji, którą wśród ryzykownych warunków wykonywać się musi w małym pokoju willowym lub hotelowym. A przecież gros gości, to ludzie chorzy, których choroba różne mieć może fazy. Lekarzy fachowych i zdolnych ma Krynica pod dostatkiem, ale o jakiemś sanatorjum lub szpitalu nikt dotąd nie pomyślał.

Jak wszystkie nasze miejsca kąpielowe i uzdro-

o. przy ul. Siemiradzkiego 24 o godz. 8 rano w następującym porządku: Dnia 15 bm. urodzeni w r. 1889 z nazwiskiem od A—F, 16 bm. urodz. 1889 od G—K, dnia 17 bm. 1889 od L—R, dnia 18 bm. 1889 od S—Z, dnia 20 bm. 1888 od A—F, dnia 21 bm. 1888 od G—K, dnia 22 bm. 1888 od L—R, dnia 23 bm. 1888 od S—Z, dnia 24 bm. 1887 od A—F, dnia 25 bm. 1887 od G—K, dnia 27 bm. 1887 od L—R, dnia 28 bm. 1887 od S—Ż, dnia 29 bm. 1886 od A—G, dnia 30 bm. 1886 od H—Ł, dnia 1 października 1886 od M—R, dnia 2 października 1886 od S—Ż, dnia 4 października 1885 od A—G, dnia 5 października 1885 od H—Ł, dnia 6 pazdziernika 1885 od M—R, dnia 7 października 1885 od S—Ż, dnia 8 października 1902 od A—F, dnia 9 października 1902 od G—K, dnia 11 października 1902 od L—R, dnia 12 października 1902 od S—Ż. Popisowi powiatu krakowskiego będą stawać w Krakowie od 15 bm. do 29 bm. z powiatu podgórskiego w Podgórzu (Sokół) od od 30 bm. do 7 października; z powiatu bocheńskiego w Bochni od 15 września do 1 października; z powiatu wielickiego w Wieliczce od 4 października do 14 października, z powiatu chrzanowskiego w Chrzanowie od 15 bm. do 7 października br.

W SPRAWIE ZBIÓRKI SREBRA I ZŁOTA. Z K. O. P. donoszą: W niedzielę dnia 12 bm. o godz. 5 po poł. odbędzie się w sali Kopernika na uniwersytecie Jagiellońskim zebranie obywatelskie w sprawie zbiórki srebra i złota. Wydział propagandy kobiet, w ktorego skład wchodzą reprezentantki wszystkich stowarzyszeń kobiecych, zaprasza na to zebranie jak najszersze koła obywatelstwa krakowskiego.

ZBIÓRKA ULICZNA NA RZECZ SIEROT PO POLEGŁYCH. Dnia 12 bm. w niedzielę odbędzie się zbiorka na rzecz sierót i wdów po poległych. Związek inwalidów, nie mając żadnych dochodów prócz własnych wkładek, zwraca się z gorącą prośbą do społeczeństwa o poparcie materjalne. Zwracamy się do szanownej publiczności, że od pewnego czasu niepowołane osoby wyłudzają pod różnemi pozorami datki na ofiary wojny. Z temi osobnikami związek nie ma nic wspólnego.

POSIEDZENIE RADY APROWIZACYJNEJ. Na posiedzeniu krakowskiej rady aprowizacyjnej, która odbyła się onegdaj, złożył subkomitet, wydelegowany przez komisję aprowizacyjną sprawozdanie z badań, jakie przeprowadzał na miejskiej centralnej targowicy na bydło nad cenami żywego towaru. Na podstawie powyższego sprawozdania pełna komisja aprowi-

jąc omówienie sztuki, kojarzącej literackie i poetyckie zalety z wykwintną robotą sceniczną, nadmienić trzeba, że wykonawcy starali się w zakresie możności stanąć na wysokości wymagań sztuki i autora i wysiłkiem intuicji aktorskiej skutecznie dopomogli mu do zwycięstwa. Główna rola Ady Calori śpiewaczki znalazła w p. Pancewiczowej przedstawicielkę, łączącą wielki kobiecy wdzięk z finezją rutynowanej amatorki. Dwóch satelitów prześladujących Adę swą miłością odtworzyli z dużą siłą charakterystyki pp. Nowakowski i Guttner, którzy łącznie z paniami Ordyńską i Makarczykówną stworzyli stylowy zespół lirycznej komedji. Publiczność przyjęła sztukę bardzo gorąco.

wp.

NAJBLIŻSZĄ PREMJERĄ W „BAGATELI" będzie „Strażnik cnoty", który już jutro, w poniedziałek, pojawi się na scenie teatru naszego w pierwszorzędnej obsadzie i wspaniałej dekoracyjnej szacie.

KWATERY W KLASZTORACH. Chodzą słuchy po mieście, że tutejsze klasztory zdecydowały się oddać dobrowolnie na cele ewakuowanych zbędne swe lokale klasztorne.

SENSACYJNA AFERA NA TLE DOSTAW WOJSKOWYCH. Przed kilkunastu dniami doniesiono do krakowskiego urzędu walki z lichwą, że towarzystwo handlowe, firma „Pol", ul. Siemiradzkiego 10, prowadzi transakcje handlowe artykułami żywnościowemi na wielką skalę, nie posiadając na to koncesji, w myśl par. 10 z dnia 24 marca 1917 roku. Przeprowadzono więc dochodzenia, podczas których okazało się, że firma ta posiada tylko rubrum na sprzedaż artykułów, będących w wolnym obrocie handlowym, mimo to jednak podjęła się ona dostaw dla armji, zawierając w tym celu specjalną umowę z intendenturą, wedle której dostarczała wojskowości artykułów spożywczych wartości miljonowych. Jak stwierdza zestawienie towarów zamówionych, firma wliczała do rachunku 5 procent prowizji tytułem usług i 2 procent za koszta administracyjne, co łącznie wynosi 8,668.595 marek. Należy dodać, że w myśl umowy wojskowość starała się o wszelkie dokumenty przewozowe, pomoc u władz, odpowiedni konwój dla wagonów, oraz, jak wskazują księgi kopiałów, dała pieniądze z góry, wobec tego trudno pojąć, za co pobierano owe 7 procent. Wskutek braku oryginalnych faktur na dostarczone rumuńskie towary we firmie, organa śledcze nie zdołały wykazać kalkulacji odnośnie do wszystkich artykułów, dostarczanych wojsku. Stwierdzono jednak, że

„N. Reforma" Krak. poniedziałek 13 września 1920.

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

(Ciąg dalszy).

Przedziwny obraz roztaczał się przed oczymą wiernych. W środku sali, obitej od posadzki do stropu kitajką cynobrowo-żółtawej barwy, wznosił się stopniami w kształcie piramidy o ściętym wierzchołku olbrzymi po dach domu sięgający ołtarz z cedrowego drzewa. Nad balustradą platformy szczytowej sklepiła się tafla stropu, która w chwili rozpoczęcia obrzędu odwinęła się w górę, odsłaniając nad głowami Gebrów granatowy, gwiazdami usiany firmament nocy lipcowej...

Nagle ze złotej trapezy u szczytu buchnął w niebo ogień ofiarny, zażegnięty ręką Athrarvana; naczelny mobet ze złożonemi na piersiach rękoma, wpatrzony w płomienie paleniska, pogrążył się w zbożnem skupieniu. Ubrany w szeroki, purpurowo szkarłatny płaszcz, z rytualną przepaską fadâm na ustach, w miękkim szafranowym zawoju na głowie, wyglądał jak wcielony po wiekach awatar któregoś z arcykapłanów boskiego Agni. Twarz jego fanatyczna, ostro zarysowana w krwawym żarze ołtarza, górowała wysoko nad tłumem niby wykute w marmurze oblicze wschodniego bóstwa...

Poniżej ofiarnego stołu na stopniach piramidy, gorzały w lampach z drogich kamieni różnobarwne ognie jak rozbite na siedem pasm kolory tęczy. Wykwitały płomienie zielone z cudnie rżniętych ampuł ze szmaragdu-kamienia, co przed epilepsją chroni — łagodne, fjołkowe z czar ametystu — ponsowo-szkarłatne ze smukłych lychnosów z krwawnika — doradcy wesela lub z kornaliny pomocnej w chorobach miesięcznych. Ciemno-błękitne lub modroniebieskie języki drgały w roztruhanach z szafiru, kagankach z turkusu, wlewając w serca struchlałe i smutne leki na trwogę i melancholję — pomarańczowe w baniach z topazu i turmalinu, broniąc przed troską i lunatyzmem, ciemno-żółte wśród zwojów muszli z jaspisu, oślepiająco białe w żyrandolach z agatu, rozpogadzając dusze i lecząc nudę...

A wśród tych płomieni, strzelających z kosztownych świeczników, z lamp alabastrowych i z latarń przedziwnych, przesuwały się jak na jakiejś szaleńczej maskaradzie postaci obłąkanych Gebrów w strojach cudacznych. I była ta wielka, ogniowa reduta jakby pomieszaniem wszystkich stylów; zdawało się, że cokolwiek ludzkość od prawieków stworzyła w dziedzinie obrzędowej mody, tutaj skupiły się jakby na rewję dziejową.

Obok powłóczystych burnusów kapłańskich gorącego Wschodu, syryjskich chlamid słońca, krzyczących sytością barw płaszczy i tiar służebników Izydy, Mithry i Ammon-Ra-Jowisza, snuły się senne majaki w dymie ofiarnych kadzideł greckie, niepokalanie białe peplosy i chlajny, dostojne rzymskie togi i dalmatyki. Obok fantastycznych szat ofiarników Brahmy, strojów służebnych wyznawców Buddhy, dziwacznych szat kapłanów Malabaru i Ceylonu, widniały w kłębach spalonych na ołtarzach mirry chrześcijańskie stuły i ornaty, obwieszone amuletami opończe indyjskich „lekarzy", popstrzone symboliką znaków skurzane kubraki murzyńskich cudotwórców...

Na czwartym stopniu piramidy, pod cudną lampą w kształcie rozwartego kielicha lotosu, w którym chełbiły się węże szkarłatnego ognia, stał jeden z raspich i wołał wielkim głosem:

— Jestem płomień, syn Ognia. Urodziłem się z Iskry, jego kochanki w godzinie miłosnej tęsknoty.

I wygiął ciało w giętką, esowatą linię płomienia.

— Syn Ognia i Iskry miłością tchnę cały i żarem pożądań. Pójdź do mnie, wstydliwa Scintillo! Ogarnę cię oplotem mych ognistych ramion i rzucę w otchłań słodkiego zapomnienia.

I objął w pas bladą, smukłą kapłankę.

— Panowie i panie! — krzyczał olbrzymi Gebr, pochylony nad żarem jednego z dymiących ołtarzy. — Mnie wpierw słuchajcie! Jestem Prometeusz! Ten sam, co przed wiekami wykradł zazdrosnym bogom ogień z wierzchołków Olimpu i ludziom przyniósł na ziemię. Bracia! Bogowie — to kłamcy i podli fałszerze! Złamałem ich moc złośliwą, strzaskałem łańcuchy, co mię przykuły do stoków Kaukazu.

Tu podniósł w górę pudełko z tutek do papierosów:

— Lecz słuchajcie, bracia Gebrowie — ciągnął przyciszonym, tajemniczym głosem — Ludzkość zgubiła gdzieś w drodze ogień Prometeuszowy, zastępując go innym, który jest tylko jego nędzną podróbką, marną imitacją. I oto, bracia, po raz drugi zstąpiłem ze szczytów pomiędzy was, o wielce ukochani, by wam święty żywioł powtórnie ofiarować. Mam jeszcze jedną iskierkę — ukryłem ją na zapas w tej skrzynce cudownej, którą zowią narthex. Oto ona!

I otworzył z chytrym uśmiechem za zawiędłych ustach pudełko. Z wnętrza uniosło się parę uwięzionych much i z bzykiem poszybowało w głąb świątyni.

— To muchy! — wydęła pogardliwie wargi jakaś czarnowłosa, na pół obnażona hetera, podnosząc w górę brwi pociągnięte antymonem.

— To iskra boża, kochanie — odpowiedział Prometeusz, wlokąc ją już w ciemniejszą partję sali poza promieniem ołtarzy...

W głębi świątyni odezwał się ktoś zwierzęcym rykiem:

— Przedemną się korzcie, przedemną drżyjcie! Dahâka jestem, sługa pierwszy potężnego Arymana. Mam trzy łby i 3 pary oczu. Mieszkam z panem moim na górze Arezura i wspieram go w walkach z przebrzydłym Ahura-Mazdą.

I zaniósł się potwornym, ścinającym krew w żyłach rechotem.......

Na północnej ścianie piramidy tarzał się w konwulsjach jakiś chudy, o hektycznych wypiekach na twarzy opętaniec, rzucając od czasu do czasu w tłum na dole urywane groźby:

— Patrzcie tu na mnie, niewolnicy okrutnego Arymana. Jestem jednym z jego towarzyszy-duchów elementarnych, diwem pożaru i czerwonego moru. — Patrzcie, jak się tarzać muszę w spazmach ogniowej katuszy. Pożar mam w żyłach, ogień w krwi... Eheu, eheu!

I toczył krwawą pianę z ust na stopnie ołtarza.

(C. d. n.).

posiadłość ziemska...

Tak więc kiedy robotnicy metalowi przeprowadzają już program socjalistyczny w praktyce, robotnicy zaś rolni zapowiadają jego przeprowadzenie, cała reszta proletarjatu włoskiego stoi gotowa do udziału w tej walce pracy z kapitałem, na wypadek, gdyby rząd uznał za stosowne złamać — neutralność. W opisanych warunkach rząd Giolittiego nie śpieszy się też z popełnieniem takiego błędu, który przy istniejącem napięciu umysłów w ciągu dwudziestu czterech godzin zanarchizowałby stosunki w całem państwie. Rząd wybrał w danych warunkach jedynie rozumną taktykę wyczekiwania i pozwolenia ruchowi na swobodne rozwinięcie się we wszystkich jego konsekwencjach. Minister pracy Labriola powiedział wyraźnie, że rząd nie będzie siłą bronił ustroju kapitalistycznego, ale będzie się starał, aby nowy ustrój socjalistyczny, jeżeli on jest wogóle możliwy do przeprowadzenia, wszedł w życie bez rozlewu krwi i zniszczenia mienia narodowego.

Ten niebywały dotąd liberalizm rządu ma swoją ukrytą myśl, mianowicie, że całe przedsięwzięcie robotnicze z socjalizacją fabryk zakończy się w najbliższej przyszłości samo ze siebie całkowitem fiaskiem... Nadzieja ta opiera się na założeniu, że robotnicy tylko tak długo mogą sami prowadzić fabryki, dopóki znajdują w nich konieczne surowce. Gdy się one wy-

rowych. I słusznie. Przedmiotem obrad ma być sanacja zdeprecjonowanych walut. W tym celu trzeba najpierw zapoznać się ze stanem skarbu, ponieważ w nim tkwi źródło deprecjacji, a zarazem w jego poprawie jedyny prawdziwy środek zaradczy.

Trafną jest myśl rozpoczęcia konferencji jakby od spowiedzi z dotychczasowych grzechów.

Poczęści początek obrad będzie streszczeniem drukowanych materjałów, które biuro Ligi narodów rozesłało na użytek uczestników konferencji oraz celem dopomożenia całej opinji publicznej w wyrobieniu sobie trafnego sądu o stosunkach. Materjały są umiejętnie zestawione. Są wysoce pouczające i wymowne. Zasługują na najszersze rozpowszechnienie. — Należy się wdzięczność Lidze narodów za ich opracowanie i rozesłanie. Obejmują międzynarodową statystykę emisji pieniędzy papierowych, cen, kursu dewiz, handlu zewnętrznego i finansów państwowych. Nadto opinje kilku wybitnych ekonomistów. Każdy z nich przedłożył memorjał. Najobszerniejszy, a kto wie, czy nie najcenniejszy, jest podpisany przez profesora ekonomji w Sztokholmie, Cassela. Wydrukowano także krótkie zestawienie punktów, na które wszyscy rzeczoznawcy się zgodzili.

Właśnie w najważniejszych kwestjach wszyscy rzeczoznawcy doszli do jednomyślności. Różnice są tylko drugorzędne. Wyrazili zdanie

mię, jako jedyną twierdzę naszej niepodległości. Niech żyje Piłsudski, Witos i Daszyński.

Sowiety apelują do oficerów Wrangla

Moskwa, 15 września (B. K.) Rząd sowiecki zwrócił się **z odezwą do oficerów armji Wrangla, by nie walczyli przeciwko swojej ojczyźnie** w interesie kapitalistów francuskich i angielskich. Odezwa jest podpisana przez Kalinina, Lenina, Trockiego i Brusiłowa, przewodniczącego rady sztabu jeneralnego.

Niemcy o sytuacji.

Nauen, 14 września (PAT). Wedle doniesień **niemieckich kół rządowych, pokój między Polską a Rosją nie prędzej przyjdzie do skutku, aż wyjaśnią się stosunki rosyjsko-angielskie.** Jeżeli pokój zostanie zawarty, będzie to oznaczać, że Moskwa i Londyn znalazły podstawę do podjęcia stosunków, jeżeli nie politycznych, to w każdym razie gospodarczych. **To samo przekonanie panuje również w kołach, stojących bardzo blisko rządu moskiewskiego.** Rosja będzie prowadzić politykę przewlekania, mającą na oku głównie dwie rzeczy: przedewszystkiem stworzenia na nowo wielkiej i zreorganizowanej armji, która poprze jej argument żądania pokoju, wreszcie Rosja oczekuje, jak się ułożą stosunki rosyjsko-angielskie.

Leo. Powołany w roku 1905 na dyrektora miejskiej Kasy Oszczędności, ustąpić musiał z Rady i wycofać się z życia publicznego, co uważał za wielki błąd i zawód w swej karjerze życiowej. Zawód ten odbił się dotkliwie na jego dalszych losach, które toczyły się w warunkach zniechęcenia i rozgoryczenia do ludzi i spraw publicznych. Już w czasie wojny ustąpił ze stanowiska dyrektora Kasy Oszczędności, i jako emeryt przeniósł się do Warszawy, gdzie, jako zdolny prawnik, otrzymał stanowisko radcy prokuratorji skarbu, a ostatnio zastępcy naczelnego prokuratora skarbu w Krakowie. Doskonały mowca, bystry polityk na gruncie spraw lokalnych, odpowiednio użyty, mógł był sprawom publicznym niepospolite oddać usługi, ale spowodowane zawodami rozgoryczenie stanęło w poprzek dalszej karjerze człowieka, po którego pierwszorzędnych zdolnościach kraj mógł jeszcze wiele się spodziewać. — R. i. p.

URLOPOWANIE JEDYNAKÓW, OSTATNICH SYNÓW, UCZNIÓW I TRZECH NAJSTARSZYCH ROCZNIKÓW. Jak się dowiadujemy, w najbliższych dniach zostaną rozpuszczeni na bezterminowy urlop jedynacy, ostatni synowie, oraz całe trzy najstarsze roczniki, to znaczy żołnierze, mający lat 30, 29 i 28. Ponadto rozpuszczeni zostaną uczniowie do 17 roku życia.

Zarządzenie to powitają szerokie masy ludności niewątpliwie z ogromnem zadowoleniem, dzięki temu bowiem powrócą do normalnych zajęć ojcowie rodzin, właściciele warsztatów rolnych i innych, ponadto powrócą do właściwych zajęć uczniowie.

Co do zarządzonego świeżo przeglądu pięciu roczników, mianowicie od 30 do 35 roku życia, informują nas, że termin powołania tych roczników do służby

i Naczelnik państwa, marszałek Piłsudski, udekorował krzyżem »Virtuti militari« szefa sztabu jeneralnego jen. **Rozwadowskiego**, jen. **Stanisława Hallera**, pułkownika **Piskora** i lotnika Amerykanina majora **Font le Roy**, komendanta eskadry lotniczej imienia Kościuszki.

W OBRONIE P. O. W. Naczelne dowództwo wojsk polskich nadsyła następujące sprostowanie: Dnia 5 września zjawiła się w „Gazecie Porannej" Nr 230 ocena prac P. O. W. dla wojska. Naczelne dowództwo wojsk polskich szanuje poświęcenie członków polskiej organizacji wojskowej, pracujących na tyłach armji wrogiej bez przerwy od roku 1918 i czuje się w obowiązku sprostować opinję, podaną w inkryminowanym artykule, jakoby rzekoma zdrada P. O. W. na terenach Rosji stała się jedną z walnych przyczyn niepowodzeń podczas cofania się wojsk polskich, uważając tego rodzaju opinję za bezpodstawną.

Godny pożałowania fakt przejścia jednego z jej funkcjonarjuszy do obozu wrogiego, jest odosobnionym faktem, który żadnych szerszych następstw za sobą pociągnąć nie mógł. Natomiast naczelne dowództwo czuje się w obowiązku stwierdzić, że przez cały czas walki z wrogiem wszędzie i zawsze wojska polskie korzystały z szerokiej i wydatnej pomocy P. O. W. Wielu jej bohaterskich członków poniosło śmierć z wyroku czerezwyczajek w Moskwie, Kijowie, Odesie, Żytomierzu, Winnicy, Mińsku, Wilnie, Kowlu i Petersburgu, umiejąc tajemnice organizacyjne przenieść ze sobą do grobu, lub też z cel więziennych przesyłać meldunki do władz wojskowych polskich.

„N. Reforma" 16 września 1920.

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

(Ciąg dalszy).

He, he, he! — zachichotał jakiś brat w kusym, zielonym fraku. — Tere, fere, kuku — strzela baba z łuku! Pozdrowienie wszystkim od Lucypera! Macte virtute estote, carissimi! Diabolus claudicans sum — vulgo Duliban lub Kostruban staropolski, jeśli milej dla ucha. Przychodzę wprost z piekieł. Uf, tam gorąco! Grzeszki swędzą, braciszkowie mili — grzeszki palą, o palą, aż skóra trzeszczy! Zwłaszcza te cielesne, he, he, he, piękne siostrzyczki, he, he, he! Afekty carnis lubieżne...

Gwizdnął przeciągle w palce i przepadł w tłumie. Uroczystość powoli przeradzała się w bachanalję szaleńców. Zmącone oddechami ust, płomienie lamp pochyliły się żałobnie w jedną stronę niby ręce, błagalnie w dal wyciągnięte. W powietrzu unosiły się zmieszane wonie lewantyńskich pachnideł, zawrotny zapach olejków, żywicy i swąd spalonego drzewa. Ktoś zarzucił na klosze lamp płonących dotąd jasnem, oślepiająco białem światłem acetyliny czarne, koronkowe ciemniki — i zaczęły gorzeć z poza zasłon ponuro jakoś i żałobnie...

Na estradzie, obciągniętej czerwonem suknem, zjawiło się parę pijanych już winem objat ofiarnic, otaczając korowodem jakiegoś pięknego młodzieńca we wieńcu fjołkowym na skroniach.

— Miejsce dla Agni-Erosa! — wołał półnagi oblubieniec. — Miejsce dla boga miłości i ognia! Otom jest najwyższym i ostatnim stopem dwóch bóstw w jednej postaci — ideałem przeczutym przed wiekami, zrealizowanym za dni dzisiejszych!

— Hosanna! Agni-Erosie! Witaj, Ogniu miłości! Cześć i chwała, Miłośniku Ognisty! — odpowiedzieli zgodnym chórem Gebrowie.

A on demonicznie uśmiechnięty, zdzierał już szatę z jednej z tańczących wkoło niego tyjad.

Ludzimirski — Atar zmarszczył się. Wyciągnął groźnie rękę w kierunku rozpasanej grupy i spojrzał bystro na szczyt piramidy.

Rozległ się nagle spiżowy dźwięk trąby i spłynąwszy z platformy stropowej w mosiężnych kręgach, przejął dreszczem rozwydrzoną zgraję. Ścichły momentalnie cyniczne chichoty, pogasły wykwitłe już na ustach uśmiechy...

Przechylony przez balustradę Athrarvan, utopił surowe spojrzenie w twarz Agni-Erosa i przemówił:

— Marny człowieku, dlaczego przybrałeś fałszywe imię i braci swych zwodzisz? Puste są słowa twoje i dudnią jak próżne sądki zdunowe. Ruja i porubstwo w ustach twoich, lubież i wszeteczność w sercu.

Tu podniósł głos i zstąpiwszy o parę stopni w dół, tak mówił do szalonych współbraci:

— Otoście zatracili ducha światłości i prawdy, a poszli drogą mroku i zbrodni. Otoście skalali czystość świętego Agni i obniżyli haniebnie ton wiary. Zbezczeszczone są przez was ofiarne ołtarze, zohydzony boski Ogień przez złe, występne żywioły, które panoszą się teraz w świątyni dzięki wam, o małoduszni!

Posunął się znów parę stopni w dół i nachylił nad dymiącym ołtarzem u węgła piramidy. Maska jego ostra, fanatyczna wyglądała w blaskach pełgających płomieni, jak zagniewana twarz któregoś z bogów:

— Bo powiedział Zoroaster: „Wybierajcie! Wokoło człowieka porusza się cały świat geniuszy dobrych i złych. I zaprawdę jest [illegible] człowiek przez niebo najbardziej umiłowany. Lecz zło jest też wolną praprzyczyną niezależną i trzeba je ujarzmiać i ujarzmione precz odrzucić“. — Lecz wy, małoduszni i słabego serca nie tylkoście go nie ujarzmili, lecz owszem ułatwili mu przystęp, hołdując swym zmysłom. Przeto otwarliście bramę mocom złym i występnym. I wtargnął w świątynię waszą fałszywy mowca i kłamliwy język, któremu na imię Ahryman i jego sześciu szatańskich towarzyszy i sług: diwy.

— Athrarvanie! — przerwał mu jakiś głos ochrypły z tłumu — szanujemy twą wiedzę głęboką i duszę stalową — lecz i ty człowiekiem tylko jesteś i wszystko, cokolwiek powiesz, względnem jest tylko i niepewnem. Wszak nie zaprzeczysz, że ogień uważają ludzie od dawna za symbol chuci i pożądań zmysłowych? Czemuż się gniewasz i dziwisz?

Arcykapłan gwałtownym rzutem podniósł w niebo roznamiętnioną twarz. Zapanowało głuche milczenie. Zdawało się przez chwilę, że nie znajdzie odpowiedzi. Lecz on znać tylko siły zbierał i słów szukał. Bo nagle, wyciągając ramiona ku Gebrom, zagrzmiał potężnym głosem wschodniego muezina:

— Fałsz i kłamstwo! Tu właśnie tli zarzewie obłędu, w jaki popadła nasza wiara. Ogień od prawieków jest żywiołem czystym i dobrym, bo rodzi ciepło i ruch, bo daje życie. Symbolika, o którą potrąciłeś, opętany bracie, jest tworem późniejszym, wtórnym i fałszywym — to obraz zwyrodnienia i pomieszania pojęć pierwotnych, bliższych prawdy i ideału. Ojcowie nasi tak czcili święte Agni, że przy ofiarach zasłaniali usta przepaską fadâm, by nie kalać oddechem czystego żywiołu. Ogień jest elementem nieskalanym i ma moc oczyszczającą. Czyżbyście zapomnieli o wierze chrześcijan w czyściec?

Umilkł na chwilę i z falującą wzruszeniem piersią patrzył gdzieś daleko w przestrzeń. — Wśród uroczystej ciszy słychać było tylko pryskanie przepalających się na ołtarzach bierwion i trzask płomieni...

Nagle z grona kobiet u stóp piramidy wysunęła się smukła, jasnowłosa kapłanka w stroju rzymskiej Westalki i podszedłszy do arcykapłana, zarzuciła mu namiętnie na szyję parę różowych, strojnych w manele ramion.

(Dok. nast.).

że do tarć i do plemiennych niezgód, wynikających z chęci wywyższenia się jednego narodu nad inne.

Gdyby miało przyjść do federacji, Serbowie nie dopuściliby w żaden sposób, by Bułgarja weszła w skład zjednoczonych stanów południowej Słowiańszczyzny, jak się Chorwaci tego domagali, a w wypadku, gdyby się nadzieje Chorwatów spełniły, czyż nie powstałoby niebezpieczeństwo, iż Bułgarzy i Chorwaci podadzą sobie ręce... przeciw Serbom?

Zadaniem więc Sejmu przyszłego będzie zastanowić się nad możliwością i drogami, prowadzącemi do zjednoczonego państwa, nad sposobami utrzymania właściwości plemiennej, które są i tak te same, lub podobne u wszystkich trzech plemion. Pierwszym krokiem ku temu byłaby wspólna literatura, która nie wyklucza przecież więcej niż jedno centrum kultury, dalej rozdział kościoła od państwa i, co niektórzy radzą, wypuszczanie pytania religji w urzędzie i sądzie, by religja z biegiem czasu zeszła do prywatnej rzeczy jednostki, na którą nikt zwracać uwagi nie będzie. Niebezpieczeństwo, na które niektórzy wskazują, iż Serbowie odbierać będą chleb swym współplemieńcom, o ile idea państwa centralnego zwycięży, nie wytrzymuje krytyki, gdyż nie posiadają oni za wiele inteligencji, przeciwnie Serbja zostanie

zmodernizowanie systemu kolejowego. do czego potrzebne są kapitały amerykańskie; tysiące domów musi się wybudować, wszędzie potrzebne są szkoły.

Wierzę — oświadczył p. Grabski — że robotnicy polscy oprą się bolszewizmowi. Chcemy wszyscy pracować, ale do tego potrzeba aljantów, aby wroga pokonać. Polska — mówił nareszcie — chce sprawiedliwego pokoju, imperjalizmu nie uprawia, w sprawie Litwy chce się trzymać linji, przyznanej przez Radę najwyższą.

Niedyskrecje polityki p. Paderewskiego

Aix les Bains, 16 września. (Havas). W czasie wywiadu z korespondentem »Intransigeant« Paderewski oświadczył, że Polska zaciągnęła wobec Francji święty dług wdzięczności. Jen. Weygand przyczynił się znacznie do zwycięstwa, do Francji zaś powrócił po dokonaniu dzieła. Paderewski uważa, że jest rzeczą trudną, aby pokój był trwały, wobec tego, że istnieje ścisłe porozumienie pomiędzy bolszewikami a Niemcami. Paderewski dodał, że Polska utrzymuje doskonałe stosunki z rosyjskimi patrjotami, między nimi z Wranglem, gdyż w Rosji żyją jeszcze szczerzy patrjoci, o czem niebawem będzie się można przekonać. Paderewski oświadczył wreszcie, że był jednym z pierwszych, którzy dążyli do zgrupowania państw sąsiadują-

ciwnie niemieckiego. »Vossische Zeitung« wątpi, czy układy oznaczają znaczny postęp i jest zdania, że niesłusznem jest stawiać daleko idące wnioski z powodu niezdecydowanego stanowiska Anglji. »Berliner Tageblatt« wskazuje, że wspólne wyjaśnienie Giolittiego i Millerand'a nie wychodzi poza ramy ogólnych frazesów i beztreściwości. W deklaracji jest dużo niejasnych miejsc, jedno jednak jest jasne, że **mimo umiarkowanych wyrazów obstaje się przy dotychczasowej polityce zwycięzców.** — »Vorwaerts« nazywa deklarację artykułem wstępnym »Tempsa«. Zdanie, że spokój niekompletnie rozwiązał problemat europejski, jest szpilką dla Anglji.

Horsea, 16 września (PAT). Omawiając rezultaty konferencji w Aix-les-Bains pisze »Daily Chronicle«, że Włochy najwidoczniej uczyniły ustępstwo na rzecz Francji. Żałuje jednakże, dlaczego poświęconą zostanie konferencja genewska. »Daily News« pisze, że premjer francuski skorzystał z pierwszej okazji, aby ogłosić publicznie, że w kołach interesowanych było już dostatecznie wiadome, iż **zamierzona konferencja w Genewie chwilowo się nie odbędzie.** Jest to, zdaniem »Daily News«, tem bardziej pożałowania godne, że konferencja w Genewie miała być dalszym ciągiem konferencji w **Spaa i że gotowy materjał informa-**

dzie przeglądanie towarów wysyłanych i przysyłanych oraz kontrola pakunków podróżnych i pociągów. Biuro urzędu, które jest otwarte przez cały dzień i noc, znajduje się tymczasowo przy ekspozyturze policji na dworcu głównym.

TOWARZYSTWO „KRESÓW POŁUDNIOWYCH“. W myśl uchwały zjazdu delegatów narodowego Komitetu obrony Spisza i Orawy, który odbył się z inicjatywy komitetu plebiscytowego spisko-orawskiego w Zakopanem dnia 8 bm., nastąpić ma w najbliższym czasie przekształcenie Komitetu w „Towarzystwo kresów południowych“. Wybrana komisja statutowa przedłoży na następnym zjeździe projekt statutu nowego Towarzystwa. W tym celu zarząd główny narodowego Komitetu obrony Spisza i Orawy wzywa wszystkie komitety miejscowe do wysłania delegatów na zjazd, który odbędzie się w Zakopanem dnia 19 bm. w sali Dworca Tatrzańskiego o godz. 11 przed poł., celem uchwalenia statutu i ukonstytuowania Towarzystwa.

KONSUL CZESKO-SŁOWACKI W KRAKOWIE — odmawia w dalszym ciągu wiz na paszportach dla nauczycielstwa szkół polskich na Morawach: „Możecie drugi i trzeci raz ogłosić to w gazetach, nie podpiszę“. Zarząd główny T. S. L. zawiadomił o tej obstrukcyjnej działalności p. konsula polskiego w Pradze. Czeski minister oświaty, Habermann, daje pozwolenie na uczenie polskim poddanym, a niższy funkcjonarjusz tego samego państwa przekreśla zarządzenia swego rządu centralnego i jeszcze niegrzecznie się z polską klientelą obchodzi. Ładny reprezentant państwa!

CZAS OTWIERANIA SKLEPÓW I RESTAURACYJ Na murach miasta Krakowa rozlepiono rozporządzenie na podstawie którego w dnie powszednie mają być otwarte:

Sklepy z drobną sprzedażą artykułów spożywczych

ny Śląsk, zostali przez tamtejsze władze aresztowani, a następnie wydani w ręce polskie. Dezerterzy przebywali przez dłuższy czas w barakach w Dąbiu pod Krakowem, gdzie specjalna komisja po zbadaniu ich stopnia winy, odstąpiła ich tutejszej prokuratorji wojskowej. Wczoraj trybunał doraźny rozpatrywał sprawy Tobjasza Kopelza, Józefa Goldberga, Moszka Kurzfelda, Izraela Brucknera, Izaaka Salzmanna, Moszka Białka, Mejera Kozłowskiego, Szmula Hirschberga, Szmula Rettnera, Natana Muenza, Hila Mejera Woźnicy, Abrahama Stahla, Józefa Beigelmachera, Nusyna Gottlieba i Józefa Kużuszarza. Na początku rozprawy obrońcy zaznaczyli, że oskarżenie obwinionych nie kwalifikuje się do rozpatrywania przed sądem doraźnym, ponieważ czternastodniowy termin przygotowawczy do stawienia oskarżonego przed sądem doraźnym, przewidziany ustawą, już minął, — wreszcie, ponieważ sądy doraźne nad dezerterami, którzy zbiegli przed ogłoszeniem rozporządzenia i przebywali w Katowicach, a więc poza krajem, nie zostały w przepisany sposób ogłoszone. W dalszym ciągu obrońcy po umotywowaniu wniosków prosili o przekazanie spraw zwykłemu trybunałowi. Trybunał doraźny, przeprowadzając każdą sprawę osobno, badał okoliczności, podane przez obrońców i przychyliwszy się do ich wniosków, przekazał wszystkich 15 oskarżonych do postępowania zwyczajnego.

Z KRONIKI KRADZIEŻY. Aresztowano w Podgórzu przy ul. Czarneckiego niejaką Julję Dydoń, lat 19, pochodzącą z Radomia za kradzież 20.700 mk. w gotówce na szkodę Garasów w Częstochowie. Dydoniówna po dokonaniu kradzieży zbiegła z Krakowa.

Aresztowano Stanisława Czerlaka, lat 30, czeladnika krawieckiego, poszukiwanego przez sąd w Ostrowie (Poznańskie) za kradzież.

Za współudział w kradzieży garderoby damskiej na

„Reforma“ 17/września 1920.

lensam Brusiłow? Czy nie mieliśmy próby rządów carsko-rosyjskich we Lwowie? Czy bolszewicy w danym razie postępowaliby inaczej? Raczej zdawać się może, iż najazd rosyjski, przez kogokolwiek byłby on dokonany, niósłby Polsce niewolę i zagładę. Czy Rosja »jutrzejsza« postąpiłaby inaczej, gdyby nas zawojowała? — wolno powątpiewać.

Tak więc poszukiwanie »prawdziwej Rosji« musi być dla Polaka zawsze czemś kłopotliwem, bo życie przedstawiło nieomylne dowody, że Rosja w stosunku do nas była i będzie zawsze tasama, bez względu na fermenty, jakie będą się wytwarzać w potwornym jej organiźmie.

Z tego nie wynika, że należy stać się zwolennikiem rezygnacji w stosunku do Rosji. W narodzie naszym tkwią przecież olbrzymie siły twórcze i ideowe, a tylko musimy zyskać czas, abyśmy mogli przyśpieszyć wydobycie się ich i rozwój w okresie oby najdłuższego pokoju. — Tylko pokój może być tym dobroczynnym sprawcą pomnożenia naszych sił, abyśmy się stali samoistnie i skutecznie zdolnymi do nowej samoobrony, gdyby tego zaszła potrzeba.

Chodzi o jasne postawienie kwestji. Delegaci nasi pojechali do Rygi, aby tam zawrzeć honorowy, oparty na dobrej obustronnej woli, pokój porozumienia. Pojechali układać się z tą Rosją, jaka jest dzisiaj, bo z nią toczy się wojna i tylko z nią można ewentualnie doprowadzić do zawarcia pokoju. Nie mogą przecież układać się z Rosją »jutrzejszą«, bo tej jeszcze niema, a na pojawienie się jej musielibyśmy

Sąd jeneralski.

Warszawa, 17 września (Tel. wł.) Jenerałowie: Zieliński, J. Haller, Gołogórski i Leśniewski powołani zostali **do utworzenia sądu jeneralskiego.**

Zadaniem tego sądu będzie rozpatrywanie spraw, związanych z zarzutem, dotyczącemi **opieszałości w wykonaniu powierzonych zadań wojskowych** poszczególnym dowódcom.

Min. Sapieha o stosunkach polsko-węgierskich.

Budapeszt, 17 września (B. K.) Warszawski korespondent dziennika »Az Est« miał wywiad z ministrem spraw zagranicznych Sapiehą, który oświadczył, że w czasie wojny było dla Polaków niezrozumiałe, iż Węgrzy z taką energją popierali politykę dwuprzymierza. Mimo to **może minister zapewnić Węgrów o sympatjach ze strony narodu polskiego.** Sympatje te powiększyły się jeszcze przez okoliczność, że w czasie, kiedy armja bolszewicka stała pod Warszawą, deputacja węgierska w półurzędowej formie zaofiarowała Polsce pomoc węgierskiej armji narodowej przeciwko bolszewikom. **Zbliżenie się między Węgrami a Polską jest pożądane dla obu stron.** Na pytanie korespondenta, czy współdziałanie Polski z Rumunją nie utrudni dojścia do skutku platformy polsko-węgierskiej, odpowiedział Sapieha, iż sądzi, że będzie możliwe znalezienie drogi. **Współdzia-**

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

(Dokończenie).

— Pyrofila! Pyrofila! — poszedł szmer po tłumie.

— Kochanku mój — szeptała kobieta, tuląc do ametystowego pektorału Athrarvana — Czyż nie jestem młodą i pełną życia? Czyż nie stokroć piękniejszą rzeczywistością niśli ta chłodna i zimna kraina ideału, o której zresztą tak pięknie nam mówisz? Pójdź ze mną pomiędzy braci i kochaj jak inni!

I podawała mu karminowe usta.

Lecz Athrarvan z błyskiem dzikiego gnibru w oczach odtrącił ją na odległość ramienia i nagle piorunowym ruchem wyciągnąwszy z za pasa nóż ofiarny, zatopił go w piersi Pyrofili.

— Giń ladacznico!

Upadła bez jęku, krasząc stopnie ołtarza rubinami krwi młodej, zapędnej.

A on, podnosząc w górę ramię z ociekającym posoką nożem, zwrócił się z fanatyczną apostrofą do oniemiałego z przerażenia tłumu:

— Ofiarowałem ją Ormuzdowi. Krew jej, przelana na ołtarzu Ognia, niech przyniesie zwycięstwo duchowi światła i prawdy w walce z Ahrymanem o świat, toczącej się od prawieków.

Tu rzucił zbroczony krwią puginał w środek ogniska i wyrwawszy z pierścienia płonącą żagiew, pochylił ją w linji poziomej:

— Bracia! Jakżem szczęśliwy, jakżem rad! Nadeszła chwila niezwykła, wybiła godzina przesilu. Bracia! Stańmy się ośrodkiem ludzkości, symbolem jej walczącej w krwawym pocie o wyzwolenie duszy! Bracia! Ofiarujmy życia nasze za grzechy świata! Przywróćmy czystość Świętemu Agni, spalając się cicho w Jego płomieniach! Gdy z ciał naszych pozostaną tylko zgliszcza, gdy wiatr rozniesie na krańce świata popioły naszych kości, zabłyśnie dzień zwycięstwa Dobra i Jasności. Wtedy Ogień przerodzi się w Światło i Ormuzd święcić będzie triumf Dnia Prawdy. Bracia! Chrystusem ludzkości bądźmy! Przez ogień oczyśćmy i zbawmy świat! Hosanna, bracia, hosanna!

I z błyszczącemi szaleństwem oczyma podsunął żagiew pod kotarę świątyni...

Nastąpiła szczególna, jedyna w swym rodzaju przemiana. Czad krwi przelanej, fanatyzm Athrarvana, widok płonącej zasłony podziałały na tłum z mocą suggestji Dziwna logika rzuciła te dusze obłąkane na szlaki szaleńczej ideologji: poddali się woli arcykapłana. Kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się po gorejące lampy, kaganki, świeczniki i zdobywszy je w mgnieniu oka, zaczęło podkładać ogień pod ściany sali...

Wkrótce zajęły się drewniane obicia, zatliła podłoga. Wśród kłębów dymu przewalających się po sali, przemykały postacie szałonych podpalaczy, duśbiły się kapłańskie fezy, turbany i ureusy. Wzdłuż ścian, pomiędzy żertwnikami, po stopniach piramidy czołgały się przeguby ognia, dźwigały czerwone łby, jeżyły krwawe grzywy...

Na platformie szczytowej w wieńcu ognistych języków klęczał Athrarvan, zatopiony w mistycznej zadumie. A gdy już z dołu doszły go jęki duszących się ofiar, gdy złota obręcz Agni zaciskać się jęła wkoło niego coraz węższym pierścieniem i płomienie lizały mu stopy, zaintonował hymn potężny i groźny zarazem:

Dies irae, dies illa
Solvet saeclum in favilla...

A z dołu, z otchłani ognia i dymów odpowiedział mu chór umęczonych głosów:

Recordare, Jesu pie,
Quod sum causa Tuae viae:
Ne me perdas illa die...

— — — — — — — — —

Nad ranem, gdy już pogasły gwiazdy i blada jutrznia zaświtała na niebie, pozostały z zakładu dr Ludzimirskiego tylko dymiące zgliszcza: zgorzał doszczętnie w płomieniach obłąkańczej autodafe.

———c———

na którem rozpatrywano **główne sprawy natury gospodarczej.**

Między innemi omawiano sprawę określenia **minimum egzystencji, od którego należałoby już pobierać podatki bezpośrednie.**

Warszawa, 17 września (PAT). Prezydjum rady ministrów komunikuje: Rada ministrów na posiedzeniu z dnia 16 bm. zajmowała się sprawą pomocy dla rolnictwa przez wydatniejsze dostarczenie koni i wozów wojskowych oraz **ograniczeniem sądów doraźnych.** Ponadto załatwiono szereg spraw bieżących, a między innemi przedłużono do dnia 1 listopada 1920 r. termin dla rejestracji emerytur i pretensyj, wynikających ze stosunków służbowych Polaków byłych funkcjonarjuszy cywilnych instytucyj rządowych, samorządowych i publicznych byłego Królestwa Polskiego i cesarstwa rosyjskiego oraz wdów i sierót po nich pozostałych.

Czechizacja Karwiny.

Cieszyn, 17 września (Tel. wł.) W poniedziałek odbyło się w Karwinie posiedzenie komisji administracyjnej. Przewodniczący komisji przemawiał **tylko po czesku** i zapowiedział, że językiem urzędowym będzie **wyłącznie czeski,** przeciw czemu zaprotestowali członkowie polscy i niemieccy, tem więcej, że Czechów jest w Karwinie niespełna 10 proc. Przeszedł też wniosek czeski, według którego we wszystkich pięciu szkołach polskich w pierwszych klasach będzie zaprowadzony wkładowy język czeski, co równa się **zczechizowaniu szkoły.** Niemcom zabrano 1 szkołę. Przeciw tej uchwale członkowie polscy i niemieccy wnieśli również protest.

również polityczne przygotowania, zmierzające do **nowj blokady Rosji,** która ma nareszcie złamać wielki wpływ rządu sowietów na robotników rosyjskich. Francja zażądała od krajów skandynawskich **wydalenia Litwinowa,** przedczem Danja i Szwecja uległy. Norwegja ma zrobić to samo. Nowy cios przygotowuje się z największą przezornością. Nastąpi ona **jeszcze przed zimą,** gdyż wtedy trudności sowietów będą niesłychane, zwłaszcza jeśli Ukraina i Zagłębie Donieckie będą im odebrane. Moskwa zdaje sobie jasno z tego sprawę i sposobi się gorączkowo do obrony.

Nota Curzona do Cziczerina.

Londyn, 17 września (PAT). Lord Curzon wystosował do Cziczerina notę, w której ponownie domaga się stanowczo **wysłania z Rosji angielskich obywateli,** zatrzymanych tamże, między nimi 61 oficerów, którzy się mają znajdować w rozpaczliwem położeniu aprowizacyjnem.

Pokłosie konferencji w Aix-les-Bains

Paryż, 17 września. Ag. Havasa donosi: »Excelsior« dowiaduje się z Aix-les-Bains«, że wszczęte zostały rokowania w celu doprowadzenia do skutku **nowego spotkania między Millerandem a Lloyd Georgem.** Spotkanie to miałoby nastąpić w Biarritz w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Paryż, 17 września (Biuro kor.) Po swoim powrocie do Włoch wystosował **Giolitti telegram do Milleranda,** w którym wyraża mu swo-

krakowskich biurach, które zajmują się zbiórką daniny dla żołnierza, wzmógł się znacznie, co wskazuje na pewne zrozumienie ogółu ważności tej sprawy. Zaznaczamy, że zbiórka jest nietylko niezbędną, ale i przymusowa, wskutek tego, jak nas informują, w niedługim czasie ma być osobna komisja lotna, która ma urządzać rewizje po domach prywatnych za rzeczami, potrzebnemi dla wojska. Ufamy jednak, że mieszkańcy Krakowa przez obfite daniny nie dopuszczą do uciekania się do tego rodzaju środków zebrania ubrania dla wojska.

POSIEDZENIE RADY PRZYBOCZNEJ JENERALNEGO DELEGATA rządu odbędzie się w Krakowie dnia 19 bm. w Krzysztoforach o godz. 9 rano.

W SPRAWIE POŻYCZKI ODRODZENIA. Sekcja skarbowa pod przewodnictwem prezydenta miasta i przy udziale członków prezydjum odbyła wczoraj posiedzenie, na którem zastanawiano się nad sprawą propagandy pożyczki dobrowolnej (Odrodzenia) i wezwania jeszcze tych obywateli, którzy się do tego obowiązku patrjotycznego nie poczuwają. Dla sprawy tej wybrano obszerną komisję z 25 członków rady m. która wraz z dyrektorem propagandy przeprowadzi w najbliższych dniach żywą akcję.

Pozatem omawiano sprawę jednorazowej daniny odzieżowej dla żołnierza polskiego i sfinansowania jej wobec niedostatecznych środków gminy. W tej sprawie porozumie się prezydent miasta z ministerstwem skarbu. Wkoncu przyznano dla wydz. wojskowego kredyt dodatkowy na pracę połączoną z mobilizacją i rekwizycją potrzeb wojskowych.

ZWOLNIENIE ŻYDÓW OD STAWIENNICTWA W SĄDNYM DNIU. Na rozkaz M. S. W. popisowi wyznania mojżeszowego są zwolnieni od stawiennictwa do przeglądu w dniu 25 września br. i mają się stawić przed komisją w dniu następnym.

POSIEDZENIE SEKCJI SZKOLNEJ. Onegdaj odbyło się pod przewodnictwem wiceprez. Sarego posiedzenie sekcji szkolnej, na którem przyjęto do wiadomości sprawozdanie radcy szkolnego p. Dobrzańskiego o obecnym stanie szkolnictwa powszechnego i o prowizorycznem rozmieszczeniu szkół wobec zajęcia wielu budynków szkolnych na inne cele. Następnie

chaniu świadków i wywodach obrońców trybunał skazał Ledwonia na 1½ roku, Pręczkowskiego i Suchana na 15 miesięcy, a Trynkę na 10 miesięcy ciężkiego więzienia z twardem łożem co miesiąc.

W drugiej rozprawie oskarżano M. Śliwińskiego (bronił dr Schlachet), Marję Dronner (bronił dr Scheller) i Anielę Fuksik (bronił dr Drobner). Wedle aktu oskarżenia Śliwiński 10 lutego br. włamał się do mieszkania Antoniego Oprycha i skradł dwie kasety z gotówką 36.000 koron, tudzież biżuterję wartości 30.000 koron. Ze skradzionych pieniędzy Śliwiński, jak zeznał, zatrzymał dla siebie tylko 10.000 koron, resztę zaś oddał wraz z biżuterją na przechowanie Dronnerowej i Fuksikowej. Po skończonej rozprawie trybunał skazał Śliwińskiego na jeden rok, Dronnerową na 6 miesięcy, a Fuksikową na 4 miesiące ciężkiego więzienia.

Z KRONIKI KRADZIEŻY. Aresztowano 17-letnią Marję Natkaniec, która na szkodę M. Kapuścińskiej, przebywającej w Krynicy, skradła pewną ilość bielizny znacznej wartości.

Do inspekcji policji doniosła Stefanja Wilczyńska z Chęcin (pow. Kielce), zamieszkała chwilowo w Krakowie przy rynku Kleparskim, że skradziono jej różne rzeczy wartości kilku tysięcy marek.

Wilhelmowi Gartenbergowi, zamieszkałemu w Krakowie skradziono wózek wartości 3000 mk.

Z komórki Ludwiki Gąsowskiej, zamieszkałej w bastjonie V w Mogile skradziono różne rzeczy wartości kilku tysięcy marek.

OKRES WAKACYJNY W ARESZTACH POLICYJNYCH. W ostatnich czasach, jak się okazuje z kronik przestępstw, zmniejszył się nadzwyczajnie w Krakowie wypadki kradzieży, czy napadów rabunkowych, wskutek czego obecnie w aresztach znajduje się zaledwie około 50 osób, pozostających przeważnie pod zarzutem uchylania się od służby wojskowej. Jest to bardzo dobry objaw, wskazuje bowiem na pewne uzdrowienie stosunków w naszem mieście. Zarząd aresztów policyjnych korzystając z małej ilości więzionych przeprowadził staranne odnowienie cel.

KOMUNIKATY i ZAWIADOMIENIA.

LIGA ŻEGLUGI POLSKIEJ. Z inicjatywy Towarzystwa Żegluga Polska w Krakowie odbyło się w dniu 15 bm. w sali tegoż Towarzystwa zebranie założy-

garwoliński pan Podoski z Jarczewa oznajmił władzom powiatowym, że do sekretarza komitetu Obrony Państwa, Kowerskiego przyszły ważne informacje z Warszawy. Mianowicie Naczelnik państwa został zmuszony złożyć władzę. Władzę polityczną i wojskową objęli jenerałowie Haller i Muśnicki. Wskutek przewrotu dyrektor kancelarji Car został rozstrzelany, adjutant przyboczny ppułk. Wieniawa został zmuszony do samobójstwa.

Działo się to w najbardziej krytycznym momencie, w przeddzień ewakuacji Garwolina.

Władze nasze, inspirowane przez żywioły reakcyjne prześladują ludowców za rzekome sprzyjanie bolszewikom. Może więc zajęłyby się takiemi osobistościami, jak pan Podoski i Kowerski, którzy szerząc plotki i kłamstwa, przyczyniali się w obliczu wroga do szerzenia paniki i zamętu.

Zaznaczamy, że na żądanie władz powiatowych spisania z tej sprawy protokołu, delegat min. spraw wewn. p. Dulęba odpowiedział odmownie.

HOŁD ŻOŁNIERZOM ABRAHAMA. Tel. ze Lwowa: Na wczorajszem posiedzeniu rady miasta Lwowa złożono hołd pamięci żołnierzy majora Abrahama poległych w obronie Lwowa dnia 17 sierpnia pod Zadwórzem. Następnie przyjęto wniosek o wysłanie do Płocka pisma z wyrazami hołdu z powodu odparcia najazdu nieprzyjacielskiego, odwzajemniając się w ten sposób za pomoc, jakiej Płock udzielił miastu w 1919 roku. Nakoniec wśród oklasków odczytano pismo Rady obrony stolicy, donoszące o postanowieniu wysłania zbrojnej pomocy dla Lwowa w czasie zbliżania się nieprzyjaciela. Rada obrony stolicy chcąc dać wyraz uczuciom, jakie Warszawa żywi dla Lwowa, przesyła na ręce prezydjum m. Lwowa kwotę 250.000 marek na fundusz stypendyjny dla obrońców Lwowa i wyraża hołd dla bohaterskiej obrony.

Wreszcie oklaskami przyjęto depeszę miasta Budapesztu z gratulacjami i braterskiem pozdrowieniem dla Lwowa, jego mieszkańców i dla sławnej armji polskiej z powodu jej zwycięstwa.

INAUGURACYJNE PRZEDSTAWIENIE W TEATRZE WIELKIM W LUBLINIE. Onegdaj w Teatrze Wielkim w Lublinie, prowadzonym obecnie przez referenta propagandy sztabu dowództwa jeneralnego okręgu Lublin, odbyło się inauguracyjne przedstawie-

„N. Reforma” 18/9 920.